

Biblioteka
UMK
Toruń

374428

ACER-BARYLSKI

Z teki humorysty...

Migawkowe obrazki z urlopowych
podróży po naszych i zagranicznych
uzdrowiskach.



Bliznim — ku uciecze, sobie — na pozytek.

1931 r.

2/40

Z TEKI HUMORYSTY

40263

ACER-BARYLSKI.

Z teki humorysty

Wiązanka wrażeń z Zakopanego,
Krynicy, Wrochty, Jaremcza,
Zaleszczyk, Kresów Wschodnich
i z podróży pod włoskie niebo.



.. „A jeśli smutku unikasz
przeczytaj — co pisze dziennikarz”

WYDANIE PIERWSZE.

— 1931 R. —

374 428



Druk F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie

K. 308/68

Z POBYTU W ZAKOPANEM.

Ładny urlop miałem w tym roku — nie ma co! Ufny w przepowiednie meteorologów, zapowiadających na lipiec upały i burze, pierwsze tygodnie spędziłem pod parasolem w naszym uroczem Zakopanem — zadeszczonem, załzawionem, zapłakanem i zakapanem!

Przez trzy tygodnie padał deszcz, jak gdyby na obstalunek, wprawdzie niezbyt ulewny, ale zato nieustanny — taki drobniutki kapuśniaczek, doprowadzający ludzi o słabych nerwach do szaleństwa, a ludzi ze zdrowymi nerwami do wściekłości.

Zamieszkałem w miłym i zacisznym pensjonacie p. n. „Łomnica“, u podnóża zalesionej Antałówki, tuż w pobliżu rozbrzmiewającego radjokoncertami „Sanato“. Powietrze miałem to samo co i pensjonariusze „Sanato“ tylko po cenie o 50 proc. tańszej. Za pokój z wszelkimi wygodami i wygódkami, z łóżkiem i kanapą płaciłem wraz z utrzymaniem 9 złotych dziennie.

Co prawda, kanapa była nie do użytku, gdyż skrzypiała, jak stara baba w tańcu, zato łóżko było arcyprzednie z siatką drucianą tak sprężystą, że przy przewracaniu się z boku na bok, odbijałem się od siatki, jak piłka, uderzałem głową o pochyły sufit z desek i budziłem się nieco zdziwiony na podłodze.

Pocieszało mnie tylko jedno: — ostry zapach formaliny dawał całkowitą rękojmię, że mieszkanie wolne jest od laseczników Kocha

i od pluskiew. Człowiek w takim powietrzu wytrzyma, zwłaszcza gdy musi, ale pluskwa z pewnością by zdechła.

Pozatem radował mię piękny widok na An-tałówkę, po której od godz. 3-ej rano do zmro-ku łążyły krówki górali, pobrzękując monotou-nie dzwoneczkami.

Takie miarowe dzwonienie początkowo osoby nieprzyzwyczajone trochę denerwuje, ale później można się do tego przyzwyczaić, po-dobnie jak do szumu wodospadu, do pluskania deszczu o szyby, albo do wycia pijanych gó-rali.

W pensjonacie zjazd gości był już dość liczny, z przewagą liczebną płci żeńskiej, któ-rą reprezentowały leciwe i nieco młodsze ma-trony z córeczkami, samotne mężatki i jeszcze bardziej osamotnione panny. A poza tem było w pensjonacie trzech mężczyzn: zezowaty ur-zędnik z Warszawy, ułomny chuderlawy uczeń z Poznania i patrzący na wszystko „przez za-kopcone szkiełka” urlopowy podróżnik, to jest moja mizerna persona. Była tam także ko-bieta doktor, izrealitka, ale po dwóch dniach przeniosła się do innego pensjonatu, ponieważ uczuła się osobiście dotknięta przez mężatkę z Poznania, która przy każdym obiedzie poru-szała kwestję żydowską.

Ale na tym ubytku towarzystwo niewiei-ką poniosło stratę, gdyż pozostały jeszcze peł-ne ożywienia i tanecznej werwy dwie nadobne lublinianki, studentka medycza jeszcze niedy-plomowana, ale wielka dyplomatka w sprawach sercowych, oraz studentka z Pragi czeskiej, stu-dująca na wydziale architektury.

Zbudowana na wzór wieży Eiffla kobieta-architekt zaraz po pierwszym obiedzie zadem-onstrowała kilka czeskich szwindli, a mię-dzy innymi niezawodny sposób wygrywania za-

kładów. Oto, kładąc na dłoń złotówkę, zwra-cała się do któregośkolwiek z panów z zapy-taniem:

— Ile to jest?

— Złotówka — naturalnie każdy odpowia-dał.

— A ja mówię, że pięć złotych.

— Ależ to niepodobna, przecież dobrze widzę.

— Założmy się więc o tabliczkę czekolady!

I ze słowami: „kto ma rację, kupuje ta-bliczkę czekolady” czeska magiczka robiła za-kład i oczywiście kupował czekoladę ten, kto stwierdził, że to jest złotówka, ponieważ miał rację.

Druga studentka była zdecydowaną tater-niczką, robiła co drugi dzień wycieczki do Morskiego Oka, pozatem lubiła także „Oko—cimskie, tłuste anegdoty i samochody systemu „Lancia”.

Obie lublinianki miały jedną pasję — dan-cingu u Trzaski, hołdując zapewne w tym wzglę-dzie dewizie Nitscheho, który przez usta Zara-tustry mówił: „A stracony będzie dla nas dzień, w którym choćby raz jeden nie zatańczono!” W wyprawach dancingowych aliści wielce im przeszkadzał 3-letni chłopczyzna Roleczek (imię zdrobniałe zapewne dorosłego Rolmopsa). Chło-piec ów był istnem utrapieniem nietylko swych opiekunek, ale wogóle i wszystkich pensjonar-juszy. Co chwila z piętra lub z podwórza roz-legały się natarczywe wołania: „Cio—ciu! cio-ciu!” Przy stole Roleczek wierzgał nóżkami, robił rozpaczliwe grymasy na widok wątróbki lub kompotu z agrestu, wywracał szklanki, bru-dził obrusy, zadawał co chwila niedorzeczne pytania, koncentrując na swej osóbcie uwagę całego towarzystwa.

— Ciociu, kupis mi piłkę?

- Kupię, tylko bądź grzeczny!
- A na dansik nie pójdziesz do Tsaski?...
- Nie pójdę, nie.
- A jak będę spał, też nie pójdziesz?
- Nie nudź już, Roleczku, widzisz wszyscy się z ciebie śmieją...

Wpływ słońca i świeżego powietrza, obfitość pożywienia, a wreszcie bezczynny tryb życia już po kilku dniach pobytu w Zakopanem wywiera czarodziejские skutki.

Potulne zazwyczaj i spokojne żony kupców z Bochni czy Jarosławia zmieniają się naraż w dancingowe lwice do których snadnie można zastosować ironiczną zwrotkę:

Dziś każda baba, im bardziej pomarszczona,
rozlewna w biuscie i niekształtna w pasie
niby dziełatka na dancingi pcha się,
tańczy... Charlestona.

Pomimo że miesiąc lipiec w tym roku był wyjątkowo dżdżysty, zdarzyły się jednak w pewnych odstępach czasu coś trzy czy cztery dni pogodne, a nawet wyjątkowo słoneczne. W owych dniach pobliskie wzgórza, jak Antałówka, regle, albo skalisty Nosal roily się od opalających się na czerwono lub bronzowo letniczek, które wydekoltowane aż do granic zastrzeżonych przepisami obyczajności publicznej, wystawiały do słońca kompleksy mniej lub więcej rozlewnych kształtów. Ze wszystkich pensjonatów wyruszały liczne mieszane towarzystwa i zbierały się na Antałówce po to, by się rozbiierać. Ugorzała cera jest podobno oznaką zdrowia, ale nie zawsze gwałtownie opalenie wychodzi każdemu na zdrowie.

Widziałem bowiem młode niewiasty z popękana skórą, widziałem też starszego pana zupełnie bez nosa (zapewne słońce mu go spali-

ło). Zdarzają się podczas używania t. zw. kąpieli słonecznych wypadki zasłabnięć na serce, a jak cpowiadano mi, jeden młody kuracjusz dostał porażenia słonecznego i w ciągu tygodnia ożenił się z opaloną na bronzowo kuracjuszka z tego samego pensjonatu.

Słoneczne „dolce far niente” na Antałówce urozmaica sobie odmienna płęć konwersacją na tematy nietyle interesujące, co różnorodne. Przechodząc przez owo wzgórze, aby także znaleźć gdzieś zaciszny kącik i opalić się za wydane kilkaset złotych na buraczkowo zdołałem mimowoli pochwycić okruczności słów:

...— A teraz trzeba będzie swą smutną twarz wystawić do słońca — orzeka zgrabna osóбка, przewracając się do góry plecami.

Wylegający obok lowelas w białych pantoflach pośpieszył z komplementem:

— O pani, jakżebym pragnął zmienić się w promień słońca, któryby zdołał pani smutną twarz rozweselić!...

Koleżanki wybuchnęły śmiechem a komplementista pokazał słońcu dwa rzędy białych kłów, zadowolony ze strzelistego konceptu.

W innym familijnym towarzystwie pod opieką wielorybich kształtów matrony w lila kąpielowym kostjumie, opalały się kruczo czarne córeczki z zielonemi listkami na nosach. Osia tematu był tutaj wytworny pan Gustaw w binoklach, duży drab z krogulczym nosem.

— Pan się nie opali bez waseliny, panie Gustaw!

— Ja tego sposobu znam, ale tyle mam wydatków, że zmuszony jestem poczynić oszczędności na waselinie.

Słoneczne dzionki w Zakopanem należą jednak do rzadkości, to też w ciągu trzech tygodniowego pobytu w „Łomnicy” miałem sposobność tylko dwa razy wybrać się na Anta-

łówkę i raz jeden na regle. Innych wycieczek nie urządziłem, bo przede wszystkim uważam, że niema najmniejszego sensu drapać się w pocie czoła na wysokie szczyty, aby potem patrzeć, co się dzieje w dole, kiedy to samo można daleko lepiej zobaczyć bez wspinania się na góry, a powtóre trzeba być zdeklarowanym warjatem albo zawodowym taternikiem, aby szwendać się po górach w czasie deszczu.

Tryb życia prowadziłem przeta nieskomplikowany. Dzień do dnia był podobny jak dwie krople deszczu: rano spacerowałem, jak lampart po klatce, naokoło stołu, po obiedzie i godzinnej nudnej konwersacji na temat leguminy z czereśniami, zachwycających pomysłów Roleczka lub wpływu deszczu na crêpe-de-chinowe suknie znowu rozpoczynałem spacer po pokoju, tylko w przeciwną stronę. Pewne urozmaicenie w życiu być musi, inaczej mógłby człowiek zwarjować. Wieczorem często gęsto grałem w preferansa lub loteryjkę, czasem w szachy, czasem po chudej kolacji, słuchało się tłustych kawałów elokwentnych studentek, czasem z rozpaczy wprost od stołu szło się do łóżka, aby przy monotonnym plusku deszczu śnić słoneczne sny o rodzinnym grodzie.

Czwartego tygodnia już nie mogłem wytrzymać w Zakopanem. W poszukiwaniu słońca przybyłem więc na nadwarciańską plażę na Kawodrzy.

Wreszcie minął i czwarty tydzień. — Żegnajcie kosztowne nawyki beczynnego żywota! bo oto skończył się urlopowy wypoczynek, a rozpoczął dziennikarski „wypocinek"! Od tygodnia już trzymam niemal bez przerwy pióro lub ołówek w ręce i wzorem Don Pomeranca z kabaretowej ballady wciąż piszę, i piszę, i piszę.

Z KRYNICY.

Urlop to znakomity wynalazek, cieszący się powszechnem uznaniem sfer pracujących. Zawdzięczając mądrym zarządzeniom Ministerstwa pracy, chociaż nie wszyscy w Polsce mają pracę, jednakże wszyscy pracownicy korzystają w ciągu roku z urlopu miesięcznego lub dwutygodniowego. Urlopy bywają różnie udzielane: oto miejscowe przedsiębiorstwa udzielają robotnikom urlopu wtedy, gdy zamówione transporty surowca w porę nie nadchodzą do Gdańska, kolejarze korzystają z urlopu przeważnie w listopadzie i grudniu, ale większość pracowników biurowych vel piórowych otrzymuje urlop w okresie letnich miesięcy t. j. od marca do października włącznie.

Z powyższego wstępu każdy z łatwością się domyśli, że i ja w tym roku korzystałem z urlopu, który, niestety, już się skończył, jako że wszystko na świecie ma swój koniec, a niektóre pożyteczne przedmioty, jak naprzykład kij, mają nawet po dwa końce.

Korzystając z wolnego czasu i dziennikarskiego biletu wolnej jazdy, wybrałem się na kilka dni do Krynicy, w tym bowiem zakątku kraju malowniczym i wodoleczniczym, zalesionym i „zabłoconym" jeszcze nie byłem.

Co kraj to obyczaj, ale zwyczaje panujące w Krynicy zasługują na miano co najmniej dziwnych. Kuracjusze miejscowi to dziwni ludzie, którzy zamiast wódki piją trzy razy dziennie wodę, a potem nurzają się w błocie, jak gdyby byli naprawdę pijani.

Kąpiele błotne czyli borowinowe cieszą się największem wzięciem u nadmiernie otyłych mężatek, które pragną schudnąć, u leciwych już panien, które gwałtem poszukują męża, zadurzonych i zadłużonych kawalerów, którzy się pragną bogato ożenić, a wogóle kąpie-

le w błocie działają zbawiennie na wszelkie dolegliwości reumatyczno-romantyczne.

Nie posiadając tak imponujących szczytów górskich, jak Zakopane, ani tak cudnych skalistych urwisk i wodospadów jak Jaremcze, perła naszych zdrojowisk czyli mówię jasno, — Krynica, obok doskonałych urządzeń kąpielowych i kilkudziesięciu pensjonatów, oddzielonych słupem granicznym od brudnej wsi rusińskiej, posiada jeszcze specyficznie lokalną znakomitość — górę parkową z precudnemi alejkami, altanami marzeń, kapliczkami, „parasolami“, chodnikiem Mrawincsića (uprasza się o niezłamanie języka!) i wielu innemi zakątkami, gdzie w błogiem „dolce far niente“ po wypiciu przepisanej liczby kubków mineralnych odpoczywają na ławeczkach lub wprost pod świerkami grube i jeszcze grubsze, stare i jeszcze starsze, brzydkie i jeszcze brzydsze kupcowe i żony przemysłowców z całej Polski, a najwięcej tych kuracyjnych okazji dostarczają wysoce handlowe ośrodki: Brody, Berdyczów i Będzin.

Od czasu do czasu zdarza się spotkać i gromadki młodych żydówcezek — wystrzyżonych, podgolonych, opalonych, modnie ubranych, podkasanych i artystycznie wymalowanych, od których na całą szerokość chodnika technie elegancja, wdzięk, świeżość — tak, że na łukowo zagiętym nosku każdej należałoby nakleić etykietę: — „nie dotykać, bo świeżo malowana!“

W zacisznych ustroniach parku zbiera się w godzinach popołudniowych sanchedryn rabinacki, złożony z atlasowych chasydów w puszystych lisich czapkach z czarnemi lokami pejsów, starannie zafryzowanymi. Grupki takie na tle wysmukłych świerków wyglądają nader malowniczo, czyniąc wrażenie czarnych

zmerszałych grzybów albo prehistorycznych okazów talmudowej flory.

Tuż pod górą parkową (dla... parek) pomiędzy Domem Zdrojowym a zakładami kąpielowemi ciągnie się deptak, a właściwie „dreptak“, pryncypalna ulica i główna arterja zdrojowiska, pulsująca wodą Zuberą, kryniczanką i słotwinką, rozbrzmiewająca koncertami benefisowemi, tętniąca zgiełkiem i gwarem, a żywo przypominająca naszą II Aleję w sobotnie popołudnie.

Zaraz po przybyciu do Krynicy zgłosiłem się do dyr. Nowotarskiego z prośbą o przyznanie mi kilku kąpeli gazowych, które podobno działają zbawiennie na lotność dowcipu, — Wszechwładny „męczennik“ sezonu kuracyjnego urzęduje codziennie od 9-ej rano do 12-ej w południe, oblegany przez długie „ogonki“ kuracjuszków i kuracjuszek, którym kąpiele przynoszą ulgę w słabościach, a dyrektor rozporządza jeszcze bardziej zbawienną mocą, bowiem przyznaje ulgi w kąpielach.

Z wyjednaniem kąpeli poszło mi bardzo gładko, bowiem dyr. Nowotarski, jako mąż nadzwyczajnie wyrozumiały, a wędrownym dziennikarzom wielce przychylny, przyznał mi kilka kąpeli w słotwinie zupełnie gratis i w dodatku bez ordynacji lekarskiej, która kosztuje 20 zł. i bez opłaty taksy zdrojowej, wynoszącej 30 zł., za co na tem miejscu wyrażam mu cześć i podziękę, a na znak hołdu przy kreśleniu słów niniejszych trzymałem przez trzy minuty pióro w pozycji stojącej!

Już pierwsza kąpiel gazowa wywarła zbawienny skutek, gdyż po wyjściu z Zakładu kąpielowego napisałem Heniowi Domańskiemu, produkującemu się ze swą nieśmiertelną harmonijką w „Zaciszu“, specjalnie obstalowany kuplet o Krynicy, poczem udałem się na obiad

do restauracji Domu Zdrojowego. Obiad z 3-chań niezbyt obfitych, ale smacznych i pożywnych, kosztuje 3 zł. łącznie z „figasem” malinowym lub wiśniowym. Dla samych tych „figasów” warto jeść obiady, a dla obiadów warto siedzieć w Krynicy.

Po południu udałem się z pewnym towarzystwem z Warszawy na Górę Parkową. Dwie nader żywe córeczki, Basia i Zosieńka, biegały po ścieżkach, jak dzikie kozy, skakały przez słupy, przewracały ławki, wyrwały młode świerki z korzeniami, krajały deski w altanach, rzeźbiąc ślady swego pobytu i wyprawiały tym podobne harce. Starsze towarzystwo, w którego gronie znajdowałem się, prowadziło poważny dyskurs na temat wpływu wody Zuberana na dolegliwości sercowe, albo zachwycało się cudnymi widokami, roztaczającymi się z chodnika Mravincsi... — już nie dokończę tego fatalnego wyrazu, w obawie żeby nie wywichnąć sobie ręki!

Wieczorem spotkałem na deptaku znajomego lekarza, który mię zagadnął z uśmiechem życzliwości:

— Cóż pan tu porabia, panie Acer?

— Kuruję się na bezpłodność umysłową, panie doktorze.

— I jakież zabiegi pan stosuje?

— Kąpiele gazowe, kąpiele słoneczne, kąpiele deszczowe i trzy łyżeczki Zuberana po każdym obiedzie.

— A w borowinie się pan nie kąpie?

— Nie mam odwagi, bowiem na moją dolegliwość musiałbym chyba zanurzyć w błocie głowę, a taki zabieg wodoleczniczy nie wydaje mi się zbyt przyjemny.

— A cóż tu porabia pan doktor?

— Przyjechałem na wypoczynek z rodzi-

na. Piję Zuberana, ale fatalnie się czuję, bo mam żołądek do lekarstw nieprzyzwyczajony.

— Tak, tak! Lekarstwa zawsze lepiej przepisywać pacjentom, aniżeli ich zbawiennych skutków samemu doświadczać!...

Zaledwie pożegnałem się z doktorem, spotkałem na tymże deptaku dwie znajome leżniczki, z którymi zrobiłem wycieczkę przy księżycu do znajdującej się na końcu wsi starej cerkiewki.

Ach, te spacerunki! W tem miejscu ronię głębokie lecz dyskretne westchnienie i stawiam z rozmachem lirycznym wielokropek...

Wszystkie dni następne minęły podobnie, jak dzień pierwszy. I przyznać muszę, że gdyby nie owe spacerunki na Górę Parkową i do starej cerkiewki z nudów i tęsknoty za „Cristalem” chyba utopiłbym się w słotwince. Próbo wałem się już raz nawet zanurzyć, ale, niestety, natychmiast gazowe banieczki takiego lek koducha wynosiły na powierzchnię wody.

Po zużytkowaniu więc wszystkich biletów kąpielowych powróciłem co żywo do domowych pielerzy, aby się gruntownie wysuszyć. Tymczasem trafiłem na takie deszcze i niepogody, jakich najstarsze przedwojenne dziewice nie pamiętają. Cóż miałem począć jednak? Żeby mieć szczęście do pogody podczas urlopu, to trzeba by się chyba pod parasolem urodzić, a ja do tych szczęśliwców nie należę.

Z POBYTU W WOROCHCIE i JAREMCZU.

„Zegnajcie mi piękne dni Aranjuezu” — zanuciłem matowo zdartym sopranem, gdy mi przyszło po szczęsnym i niefrasobliwym, beztroskim, a po części i bezłotowym okresie urlopu zasiąść do biurka, by skreślić swe wrażenia z podróży.

Bądź co bądź przyjemniej jest wrażenia opisywać, niż podróżować, bowiem przy opisywaniu wrażeń podróży nie zagraża nikomu wypadnięcie przez nieodmknięte drzwi wagonu, ani taki horrendalny wypadek, jakiemu uległ jeden z radnych na miejscowej stacji. Nie spadnie ci cudza walizka na głowę, gdy pociąg raptownie ruszy ani też nikt nie ukradnie ci własnej, gdy się na chwilę zdrzemniesz; żadna pasażerka nie uczyni ci impertynenckiej uwagi: — „Pan się zapomina, bo tu jest przedział dla niepalących!” — albo: — „Ta cóż pan tak wyciąga nogi, jakby pan był sam w przedziale!” — słowem przy opisywaniu wrażeń z podróży nie doświadcza się owych rozlicznych niewygód i niespodzianek, jakie na każdym kroku czekają pasażera, odbywającego podróż na dłuższy dystans polską koleją państwową.

W podobnych właśnie warunkach bez żadnych szczególniejszych wydarzeń dojechałem do Śniatynia, po 20 godzinach dygotania na sprężynowych kanapkach II klasy, pokrytych nadzwyczajną makatą ze zwyczajnego worka.

Z braku innego zajęcia obserwowałem przez okno wagonu żyzne równiny Wschodniej Małopolski, a patrząc na krzątanie na polach wieśniaków ukraińskich w dużych słomianych kapeluszach i długich białych kapotach ze zgrzebnego płótna, czyniłem w myśli kalkulację cen chleba po najbliższych żniwach. Widok z okien wagonu naogół monotony: białe domki kryte dachówką, łąki umajone kwieciami, a pozatem pola, pola i jeszcze raz pola. W miarę zbliżania się do granicy rumuńskiej zauważyłem na nasypie kolejowym coraz większą obfitość... rumianku, który jaskrawą bielą pokrywa łąki i ugory polne, ale taką osobliwość mogę o każdej porze roku oglądać i w aptekach miejskich.

Stacja Śniatyn — Załucze kubek w kubek podobna jest do naszego Poraja z tą tylko różnicą, że nie posiada absolutnie żadnej poczekalni kolejowej, a miasto położone jest o 5 kilometrów od dworca na dość wysokiej górze. Przestrzeń tę przebyłem trzęsąc się po wyboistej szosie na prymitywnej furce, która z powodzeniem mogłaby zastępować narzędzie średniowiecznych tortur.

Brudna miejscina Śniatyn nie różni się niczem od naszych Koziegłów lub Kłobucka, chyba tylko tem, że posiada niemal wyłącznie ludność żydowską a szyldy sklepowe spotyka się często z potrójnym tekstem: polskim, ukraińskim i żydowskim. Po spędzeniu nocy dusznej i bardzo ciemnej (w całym Śniatynie niema ani jednej latarni ulicznej) w jednym z trzech hotelików żydowskich udałem się nazajutrz w dalszą podróż do Worochty. Ze Śniatynia musiałem się wrócić do Kołomyi, a stamtąd po 6 godzinach ponownego dygotania, włączając w to i 60 minut niepewności, gdy pociąg przejeżdżał przez wysokie mosty i górskie wiadukty, i 60 sekund trwogi, gdy lokomotywa sapała złowrogo w karpackich tunelach na dystansie Delatyn — Worochta, przybyłem nareszcie do miejsca przeznaczenia.

Widoki począwszy od Delatyna były bardzo piękne, ale ponieważ, na nieszczęście, wsiadła podówczas do tegoż przedziału jeszcze piękniejsza pasażerka z cudnymi blond lokami, czyniąca na pierwszy rzut oka wrażenie lwowskiej artystki, przeto panorama górską, roztaczającą się z okien wagonów, straciła już dla mnie wszelki urok.

Wysłuchany w srebrzysty głosik kresowej piękności, która prowadziła z nudów rozmowę z jakimś młodym pasażerem, jadącym do Jaremcza, dowiedziałem się, że wcale nie jest arty-

stką, tylko zwykłą mężatką, że urodziła się w Kownie, mieszkała jakiś czas w Grodnie, a obecnie mąż jej ma gorzelnię na Wołyniu. Gdy z dalszego wątku rozmowy dowiedziałem się, że jedzie także do Worochty, serce zabiło mi gwałtownie! Pod wrażeniem chwili wyjąłem notes i zacząłem skrzętnie kreślić:

O piękna Venus, nieznaną z nazwiska,
Kwiecie czarowny z nadniemeńskich pól,
Kto ciebie ujrzał choć raz jeden zbliża,
Poznał tęsknotę — krwawy serca ból.

Blednie w mych oczach urok górskich szczytów
Powab smrek traci i szarotki kwiat,
I lazur nieba nie ma tych błękitów,
Jak oczy twoje, w które patrzę rad.

Obraz twój, Pani, w smętnej duszy głębi
Poniosę w życia powszedniego wir...

Nie dokończyłem jednak wierszyka. W czasie, kiedy pochłonięty byłem dobieraniem rymu do „głębi”, pociąg zatrzymał się na stacji Jaremcze, młody pasażer wysiadł. Serce zabiło mi jeszcze gwałtowniej!... W przedziale pozostaliśmy sam na sam...

— Co pan tak skrzętnie notuje? — padło z rubinowych ustek słowicze pytanie.

Chciałem natychmiast odpowiedzieć, ale głos ugrzązł mi w gardle... Zarumieniłem się jak panna przy pierwszych oświadczeniach konkurenta i zmienionym ze wzruszenia głosem wyjąkałem:

— To... to... to nic, proszę pani: notuję tylko nazwy stacji i liczę słupy telegraficzne, bo chciałem napisać dokładne sprawozdanie z mej podróży dziennikarskiej.

— Ach, to pan jest dziennikarzem?

— Tak, zgadła pani, podziwiam intuicję.

— Co pan podziwia?

— No intuicję, że pani odgadła, że jestem dziennikarzem.

— Ha, ha!... przecież mi pan przedtem powiedział, że odbywa pan podróż dziennikarską.

— Czy podobna? Doprawdy wcale tego nie pamiętam...

Rozmowa jakoś mi się nie kleiła, ale zato moja sąsiadka opowiadała dużo i chętnie. Dowiedziałem się, że mieszkała też w Petersburgu, że jest chora na płuca i miała już dwa krwotoki, że w ostatnim karnawale przeziębila się na balu we Lwowie i teraz jedzie na trzechmiesięczną kurację do Worochty.

To wszystko jeszcze nic! Ale gdy się dowiedziałem, że mąż jej jest zawołanym myśliwym i doskonale strzela i że jest bardzo o nią zazdrosny, — ta ostatnia wiadomość podziawiła bardzo otrzeźwiająco na mój poetycki zapał. Zrezygnowałem! Nie kończąc już płomiennej ody schowałem notatnik do kieszeni, tem więcej, że i pociąg po przejściu dwóch długich tuneli zbliżał się do Worochty.

Po pożegnaniu się z uroczą towarzyszką podróży, opuszczając dworzec zacerpnałem pełną piersią powietrza i rozejrzałem się po okolicy. Ze wschodu góry kopulaste, pokryte trawą, z południa góry usiane chatkami huculskimi, z zachodu takie same góry kopulaste, pokryte lasem, a z północy takie same lasy tylko rosnące na innych górach, — pośrodku w dolinie górskiej wstęgą zieleni wiję się droga nad Prutem, przy drodze kilka chatek huculskich, za chatkami obory, komórki i inne nietyle wspaniałe, co wygodne i praktyczne budowle i przybudówki. Oto i cała Worochta. Prawda, są tam jeszcze dwa pensjonaty, restauracja, dworzec kolejowy, poczta



i mleczarnia p. Jużkowa. W tej właśnie mleczarni znalazłem chwilowe schronienie, z powodu przepełnienia pensjonatu „Lena” suchotnicami ze Stanisławowa, Lwowa i innych kulturalnych ognisk Wschodniej Małopolski. Za pięć złotych na dobę wynająłem pokój na pierwszym piętrze, który miał tę dobrą stronę, że posiadał balkon, ale i tę stronę ujemną, że nie posiadał okna. Jednakże był to całkiem widny pokój, gdy się otworzyło wychodzące na balkon duże drzwi szklane, w których cienkie, ładnie wyheblowane i czyste (ale nieprzezroczyste) deseczki w łudzający sposób imitowały szyby okienne.

Cały długi tydzień spędziłem w tej sympatycznej mleczarni, która obok mlecznych artykułów posiadała na składzie 3 pudełka gilz, kilka paczek zapalek, parę tabliczek czekolady „Danusia”, a ponadto w każdy piątek świeże kiełbasy od rzeźnika z Jaremca, który znowu raz na miesiąc sprowadzał najświeższe wyroby masarskie ze Stanisławowa.

Na obiady i kolacje chodziłem do pobliskiego pensjonatu „Lena”, w którym zamieszkiwała i owa piękna lecz chorowita mężatka z Wołynia.

Obiady i kolacje odbywały się przy dyshawicznym akompanjamentie gruźlicznych pensjonariuszek zakładu, między którymi nie brak było i starożytnych okazów markiz z Kolumbami o wybitnie semickim wyglądzie.

Podczas kolacji toczyły się niekiedy towarzyskie rozmówki na temat:

— Co pani już odchodzi? Czy pani idzie spać, panno Reno?

— Może spać, a może co innego robić, ale muszę wyjść!...

Po wieczery udawano się natychmiast na wczesny kuracyjny spoczynek, aby wcześniej

wstać nazajutrz w myśl sentencji, że ranne wstanie i wczesny ożenek, podobno nikomu jeszcze w życiu nie zaszkodziły. Ponieważ w tych okolicznościach było łatwiej o ranne wstanie, niż o męża, przeto i pensjonariuszki „Lenny” wypełniały z konieczności tylko to pierwsze przysłowiowe zlecenie.

Za przykładem słabowitych suchotnic spędziłem i ja sześć nocy ciemnych i sześć dni pochmurnych w sposób nad wszelki wyraz nieskomplikowany. W braku innego zajęcia musiałem również wcześniej kłaść się na spoczynek i wcześniej wstawać.

W mleczarni często przysłuchiwałem się dialogom huculskiej gwary. Wielu klientów jednak odzywało się do właściciela sklepu po polsku, zgłaszając śpiewnym tonem żądania: — „Praszu skianku sadowej wody z lemonowym sukciem”, albo inne, które jeszcze trudniej było zrozumieć.

Ponieważ prawie codziennie padał deszcz i ponieważ mieszkałem w mleczarni, doznałem dziwnego wodowstrętu i zamiast wody zacząłem pić rozpaczliwie mleko. Piłem mleko niegotowane prosto od krowy, aby przypomnieć sobie słodkie czasy niemowlęstwa, piłem dla odmiany mleko kozie, a przy każdym łyku przypominałem sobie nadobne częstochowianki, hasające zwinnym krokiem górskich gazeli po wyniosłościach parku Staszycy, kiedy zaś zateęskniłem za dowcipami mych przyjaciół z „Cristalu” — jadłem ser barani, zwany po huculsku „bundzą”.

Po tygodniowym pobyciu w Worochcie, syt nietyle górnych co chmurnych wrażeń opuściłem bez żalu ten górski zakątek, a w drodze powrotnej zatrzymałem się w Jaremczu, w kwintnem letnisku karpackim, słynnym na całe huculskie Pokucie z przyległościami. Wido-

ki zaiste są tam piękne, Jaremcze bowiem położone jest w malowniczej kotlinie, okolonej z dwóch stron zrębami skał pokrytych lasem. W powodzi zieleni malowniczą wstęgą ciągnie się szosa, po obu stronach kórej wznoszą się wille i schludne chaty huculskie. W pobliżu tunel i wspaniały most kolejowy nad Prutem. Rzeka w tem miejscu z żywiołową siłą przedziera się poprzez skały tworząc wspaniałe wodospady. Zatrzymałem się w pensjonacie, który posiada przemiłą nazwę: „Fila”. Koszt utrzymania wynosił 12 złotych dziennie (za noc specjalnych dodatków już nie doliczano). Miałem sympatyczny pokój o dwóch okienkach i jednym łóżeczku z sienniczkiem, wypchanym całkiem grubiańska słomą. — (Oby wszyscy moi wrogowie spędzali na takich łóżkach bezsenne zimowe noce).

Zaraz w pierwszym dniu pobytu wybrałem się do pobliskiego wodospadu, dokąd prowadzi wąska ścieżka, wijąca się pod ścianą skalną. W niektórych miejscach ponad ścieżką występowały olbrzymie urwiska granitu, porośłe fantazyjnie powyginanemi drzewkami. W innych znów miejscach oderwane złomy granitu utworzyły duże niemal kredowej białości ściany. Gdyby nie pstrokaczna różnorodnych napisów, dokonywanych od lat szeregu przez turystów, pragnących uwiecznić swe imię bodaj scyzorykiem na kawałku kamienia, byłbym niezłomnie przekonany, że te zręby skał o ile nie w tym to napewno w zeszłym roku oderwały się od granitowej masy. To też wstępując w tem miejscu na ścieżkę zachowałem całą ostrożność, stąpając wprost na palcach w obawie, iżby żywsze stuknięcie obcasem nie zwaliło mi zwisającego zrębu skalnego na głowę. Bałem się nawet zatrzymać na chwilę, iżby odczytać kilka napisów i dopiero gdy ujrzałem namalowany

czerwoną farbą wizerunek orła polskiego, a u dołu napis „Boże zbaw Polskę” sierpień 1899 roku — odetchnąłem z niepotrzebnego wzruszenia. Pomyślałem sobie: „O ile te skały wiszą tak w powietrzu przez lat 25, to bardzo prawdopodobne, że jeszcze będą wisieć i 25 minut” — i już z całym spokojem odczytywałem napisy.

Po dojściu do wodospadu zatrzymałem się na dłuższą chwilę na pobliskim kamieniu wsłuchany w ogłuszający szum wody, wpatrzony w pienistą grzywę fal...

Drugiego dnia mego pobytu w Jaremczu wybrałem się ponownie do wodospadu, który tym razem ryczał jeszcze wścieklej, z powodu wezbrania Prutu po niedawnej burzy. W drodze powrotnej, przechodząc obok zarysowanej napisami skały, uległem pustotliwej pokusie i położyłem także swój napis na tym pamiątkowym albumie z granitu:

Tu był Acer, co zwiędzał przelotem Pokucie,
Jadł „bundzę” huculską i maczał kij w Prucie,
Wreszcie tym napisem ozdobił róg skały:
„Szpeca granit głupcy — czytają cymbały”.

Trzeciego dnia nie poszedłem już do wodospadu, gdyż od rana padał deszcz rześisty. Dobiegający dość wyraźnie do mego pokoiku głuchy szum wodospadu i loskot deszczu wprawiły mię w tak rozpaczliwy nastrój, w jakim niezawodnie znajduje się topielec, gdy mu na ratunek przypadkowo stojący na brzegu fryzjer brzytwę podaje. To też po południu spakowałem manatki, podążyłem na stację, wsiaadłem do wagonu i... W tem miejscu, nie chcąc już dłużej nadużywać cierpliwości czytelników, stawiam dużą kropkę.

WYW CZASY W ZALESZCZYKACH.

Nie będzie w tem ani cienia przesady, o ile powiem, że urlop tegoroczny spędziłem za siedmiu górami, za siedmiu rzekami, w dzikim jarze za Czortkowem, tuż nad samą granicą rumuńską t. j. w Zaleszczykach.

Jechałem przez trzy dni i trzy noce z małemi wypoczynkami w Warszawie i Lwowie, tudzież z dłuższym przymusowym postojem od 9-ej wieczorem do 5-ej rano na małej stacyjce o trafnej nazwie Czortków, aż wreszcie przybyłem do polskiego Meranu, słynącego z moreli, arbuzów, kukurydzy i kamienistej plaży nad Dniestrem.

Położenie Zaleszczyk bardzo malownicze, ze względu na widok, jaki roztacza się na sąsiedni skalisty brzeg Dniestru, przypominający skalistą kotlinę w Jaremczu. Na stokach widnieją chatki tubylczej ludności ukraińskiej oraz budki rumuńskiej straży celnej, środek rzeki bowiem stanowi granicę polsko - rumuńską.

Powiatowe miasteczko Zaleszczyki liczy 4.100 mieszkańców, w tej liczbie znajduje się zapewne trzy tysiące ukraińców, tysiąc żydów, a reszta przypada na policję i urzędników starostwa. W okresie letnim liczba mieszkańców wzrasta o kilkaset osób, przeważnie kolejarzy lub urzędników państwowych, korzystających z bezpłatnych lub ulgowych biletów przejazdu. Letnicy zatrzymują się na czasowy pobyt w pięciu tutejszych pensjonatach lub odnajmują prywatnie mieszkania (po 100 zł. miesięcznie za umeblowany „ikonami“ pokój o 2 łóżkach). Zaleszczycki „Palace Excelsior Hotel“, mieszczący się w parterowym domku w pobliżu rynku i rzeźbiście oświetlony szabasówkami w każdą sobotę, nie wchodzi tutaj w rachubę, gdyż

zatrzymują się w nim przeważnie morelowi hurtownicy lub domokrażni sprzedawcy kilimów.

Woda w Dniestrze ma tę właściwość, że w każdy piątek jest bardzo mętna i brudna iako że w tym dniu wszyscy zdolni do noszenia kostjumów kąpielowych wyznawcy Mojżesza urządzają sobie gremjalną kąpiel. To też za zwyczaj w piątek wieczorem rybacy ukraińscy, rozniecający na brzegu malownicze ogniska, mają obfite połowy, bowiem oszołomione mętami i zapachem czosnku ryby, same wyskakują na brzeg.

Poza tem Zaleszczyki stanowią wyjątkowe miasteczko, w którym niema ani jednego kina. Dla naszych przedsięwzięć kinematograficznych, utrapionych stale nadmierną konkurencją, otwarłoby się tam wdzięczne pole pomysłnej egzystencji. Tylko owe bezecne całowanie w łysiny należałoby skreślić z programów działu scenicznego, bowiem atrakcja taka mogłaby odstręczyć od kina wszystkich chasydów zaleszczyckich i przedsięwzięcie zrobiłoby niezawodną plajtę. Na sezon letni przybył tu cyrk słynnych rowerzystów Barańskich z niedźwiedziem, który w południowej porze wraz ze swym patronem zażywał kąpiele w Dniestrze, płosząc swem kosmatem cieleciem wszystkie nerwowe kuracjuszki w promieniu kilkudziesięciu metrów.

Stanałem w pensjonacie o swojsko brzmiącej nazwie „Maciejka“. Dwie gospodynie tegoż, jedna zażywniejsza od drugiej, karmiły 5 razy dziennie zawsze zgłodniałe kuracjuszki, w wieku od lat 16 do 60 z okładem przybyłe z różnych stron Polski, a przeważnie z Kongresówki. W pensjonacie ku miłemu zdumieniu zastałem znajomego urzędnika kolejowego p. Ł. z małżonką, a na odjezdnie spotkałem się z całą grupą kolejarzy, którzy w specjalnym

wagonie wycieczkowym odbywali podróż wakacyjną z Wilna do Zdołbunowa i Zaleszczyk, a z Zaleszczyk do Zdołbunowa i Wilna i znowu z powrotem. Ozdobę pensjonatu stanowiły dwie nadobne bytomianki Hela i Marysia, urzędniczki konsulatu polskiego w Bytomiu, którym towarzyszyła jeszcze trzecia służaczka w tak olbrzymich ciemnych okularach, że zasłaniały jej pół twarzy, wystawiając na widok jedynie koniec mahoniowego noska i opalonej na heban bródki.

Były tam także dwie nauczycielki z Pałbanic, nietyle siwy co łysy profesor i fircykowaty p. Adam z Sieradza, elegant w białych spodniach z nieskazitelnym kantem Jako najmłodszy przedstawiciel płci męskiej, wyręczał on mnie, profesora i statecznego małżonka p. Ł. przy wieczornych zabawach w ślepą babkę, talara i czarnoksiężnika. Zjadał potrójne porcje pomidorów i kukurydzy, kąpał się 5 razy dziennie i bawił 10 dam naraz. Przy końcu tygodnia widocznie z przepracowania zapadł na grypę — dostał 40 stopni gorączki.

O innych przedstawicielkach płci tak zwanej nadobnej lepiej nie wspominać — niechaj im zaleszczyckie powietrze lekkim i zdrowem będzie.

Obiady z trzech dań nietyle obfitych, co urozmaiconych, uzupełniały zazwyczaj porcje melancholijnej pogawędki na temat: czy pomidory są zdrowsze z octem czy bez octu, co lepiej chroni skórę od popękania — olejek migdałowy, czy waselina, wreszcie niewyczerpane źródło różnorodnych hipotez stanowił odwieczny i nigdy niewyczerpany temat pogody.

-- Taką mieliśmy piękną noc, a dzień jest pochmurny! — wzdycha panna Nusia.

-- O ile deszcz nie będzie padał, to na-

pewno się wypogodzi — wtrąca inna dama stojąca już prawą nóżką u progu starości.

-- A o ile słońce zaświeci, będzie naprawdę upał! — decyduje stanowczym tonem profesor, ku ogólnemu zadowoleniu biesiadników.

Tymczasem pogoda sprawiała w ciągu pierwszych tygodni sierpnia ciągle niespodzianki. Nie było dnia, żeby nie pokroił bodaj krótkotrwały deszczyk.

Pewnego popołudnia prawie wszyscy pensjonariusze „Maciejki“ wybrali się na rumuński brzeg za specjalnymi przepustkami, które kosztowały nas po 1.50 zł. od osoby łącznie z przejazdem łódką w obie strony.

Spędziliśmy tam całe popołudnie, racząc się winogronami po 1.50 zł. za kilogram i winem różnych gatunków po 30, 25 i 20 groszy za szklaneczkę. Dla samego wina warto brać przepustkę do Rumunii, a dla samych przepustek warto siedzieć w Zaleszczykach. To też gromadne wycieczki z Zaleszczyk na rumuńską stronę odbywają się codziennie.

W traktjerni rumuńskiej we wsi Kreszczatik miałem sposobność popisać się znajomością rumuńskiego języka przed jednym z urzędników straży celnej. Kilka zdań bowiem nauczyłem się w drodze z Warszawy do Zaleszczyk z rumuńsko-francuskiej książeczki do konwersacji. (W polskim języku niestety niema żadnej broszurki, ani nawet słownika polsko-rumuńskiego).

Rozczulony moim wysiłkiem intelektu rumun poczęstował mię winem, za które, rzecz oczywista, przez wdzięczność za traktament zapłaciłem. Dał mi też kilka wskazówek, jak należy wymawiać niektóre zwroty w rodzaju: „Buna dziule, domniszuara! — dzień dobry pani. Albo „Cum ve merdže?“ — jak się pan miewa. Godne uwagi, że słowa tak zasadnicze

jak „dać mi” i „płacić” posiadają brzmienie mocno zbliżone do polskiego: „datz me” i „platt”. Posiadając zaś znajomość tych dwóch słów i spory zasób lei można już bez trudu całą Rumunję objechać.

Po miłej pogawędce z rumunami, odjeżdżając łodzią od rumuńskiego brzegu wzniosłem okrzyk pożegnalny:

— Sy treasca Romania! (Niech żyje Rumunja). Na co odpowiedzieli stojący na brzegu: — Sy treasca Polonia. A rewedere! (Niech żyje Polska. Do widzenia!)

Poza wycieczkami do Rumunji tryb życia w pensjonacie upływał dość monotennie. Po dwóch tygodniach wypoczynku naładowałem walizkę melonami i dalej w drogę powrotną.

Zaraz nazajutrz po powrocie zgłosił się funkcjonariusz pocztowy, inkasujący opłaty za radio. Na drugi dzień przybył inkasent wodociągowy, żądając uiszczenia opłaty za siedem miesięcy za wodę. (Zaiste dziwne stosunki panują w naszej Polsce, jedni za wodę do picia płacą po 30 zł. miesięcznie, inni znów za 10 albo za 7 i pół grosza kupują majątki ziemskie).

Trzeciego dnia złożył mi wizytę sekwestrator magistracki i domagał się natychmiastowego uiszczenia podatku mieszkaniowego za trzy lata wstecz t. j. od 1927 r. Gdy usłyszałem sumę, jaką mam zapłacić, włosy mi dęba stanęły!

Zapytuję się teraz, czyż w podobnym położeniu można się zastanawiać nad sytuacją polityczną w kraju? Trzebaby tylko stale i wyłącznie myśleć o podatkach, opłatach, karach, obwieszczeniach, nakazach płatniczych i tym podobnych przyjemnościach.

Już teraz płacę dziennie przeszło złotówkę za czystą wodę do picia — w Rumunji za

te pieniądze piłbym prawdziwe wino (5 szklanek po 20 gr.)

Nie — jak tak dalej pójdzie, to podobnych ciężarów podatkowych nikt z obywateli nie będzie w możności wytrzymać. Opłaty za komunalną wodę w podwórkowych kranach i państwowe powietrze w prywatnych lokalach stanowczo muszą być zredukowane — bodaj kosztem djet poselskich.

Z PODRÓŻY NA KRESY WSCHODNIE.

Nareszcie wolny od zajęć przy biurku redakcyjnym!... Korzystając z bezpłatnego biletu wolnej jazdy i płatnego urlopu, w dniu 25 sierpnia 1923 r. wyruszyłem w podróż po naszych kresach wschodnich.

Podróż to była długa i uciążliwa, trwała bowiem bez mała tyle tygodni, ile Kolumb potrzebował na odkrycie Ameryki, a chociaż pociąg z szybkością zwarjowanego rumaka biegł po równinach mazowieckich i po zielonych rozłogach bagnistych łąk białoruskich, to jednakże przez zakurzone szyby dygocącego pulmana zdołałem zaobserwować tyle pospolitych i niepospolitych obrazków i widoków, że pragnąc wszystko skrupulatnie opisać, musiałbym w tym celu napisać grubą księgę, której z pewnością nikt by nie przeczytał, ile że w tym anormalnym czasie, kiedy z godziny na godzinę wszystko drożeje, ludzie stali się nerwowi i niecierpliwi.

Wolę przeto ograniczyć się do ujęcia wakacyjnej wycieczki w formę migawek kinematograficznych p. t. „Kresowe przyjemności” (Ciekawe zdjęcia z natury w trzech częściach). A zatem przystępuję do zilustrowania części pierwszej t. j. do podróży z Warszawy do Równego...

Warszawa... Opuszczam cię bez żalu stolico, droga dla serca każdego polaka, a jeszcze

droższa dla każdej kieszeni... Na dworzec wscho-
dni jadę tramwajem Nr. 18, potem przesiadam
na Pragę w Nr. 5. W czasie przejazdu cena bi-
letów tramwajowych podskakuje z 1500 do 2000
mk. Godzina 5-ta po południu odjazd z wschod-
niego dworca...

Rembertów, Miłosna, Mińsk - Mazowiecki...
W wagonie coraz więcej miejsca, gdyż wyele-
gantowane letniczki i „króle tenisowi” w bia-
łych pantalonach wysiadają, witając się na pe-
ronie głośno a serdecznie z całą plejadą wyde-
koltowanych kuzynek i rozegzaltowanych cio-
tek...

Pozbywszy się zbędnego bagażu, pociąg ru-
sza raźniej... Mijamy Siedlce... W złotej poświa-
cie zorzy wieczornej nad rumowiskiem dachów,
tonących w powodzi drzew owocowych wznosi
się dumnie kilkanaście wież kościelnych...

Dudnienie i rytmiczny stukot kół działa jak
środek nasenny na pasażerów. W przedziale,
oprócz mnie znajdują się jeszcze trzy osoby i
każda na swój sposób lokuje się do wygodnej
drzemki. Starozakonny kupiec założył ręce na
grubej złotej dewizce i chrapie zawzięcie, ma-
mrocząc coś niewyraźnie przez sen, zdaje się, że
nowe ceny na drzewo. Jakiś wyższy urzędnik
kolejowy zdjął czapkę, kapiącą złotem lamp-
sów, wyrżał przez okno pod bieg pociągu, jak-
gdyby chcąc się upewnić czy wszystkie semafo-
ry w porządku, poczem rozłożył się na dwóch
wolnych miejscach i pograżył w urzędowym roz-
myślanii.

Nawet siedząca naprzeciw mnie ubrana w
popielaty kostjum pamiętający lepsze czasy, nie-
pocieszona wdowa po trzech gruntownie pocie-
szonych mężach przestała już kolejarzowi opo-
wiadać dziwne koleje swego wykolejonego ży-
wota i nie dokończywszy obrazowej biografii

trzeciego nieboszczyka, wcisnęła się w kącik
i zamilkła.

Godzina 3-cia w nocy... Dojechaliśmy do
Kowla... Dworzec wspaniały w ciężkim stylu ro-
syjskich gmachów rządowych. Na peronie i w
poczekalniach dość duże ożywienie. W obszer-
nej sali przejściowej śpią potokiem chłopci bia-
loruscy w łapciach i zgrzebnej odzieży, którą
trudno nazwać białą, ze względu na grubą war-
stwę lepkiego brudu i pyłu. Przed dworcem je-
dyna drynda mocno zdemolowana ze śpiącym na
koźle woźnicą...

Do miasta prowadzi pusta ulica, a właści-
wie szeroka polna droga, pełna błota i kamieni
z popsutego bruku. W porannym brzasku pano-
rama śpiącego Kowla czyni wrażenie olbrzy-
miej wsi białoruskiej, pośrodku której widnieją
zielone i niebieskie kopuły cerkiewne, oraz kry-
te dachówką domki murowane.

W tym mniemaniu, że mam przed sobą kraj-
obraz sielski utwierdził mię niesłychany wrzask
kogutów, które o tej godzinie w całym Kowlu
wyszczęły takie larum, że nawet zbudzili się
wszyscy pasażerowie w stojącym pociągu. Jedy-
nie wdowa po trzech nieboszczykach, snąc z
tych stron pochodząca i do piania kogutów przy-
wykła, spała snem kamiennym. A musiała i snić
słodko, (zapewne o pierwszym nieboszczyku
mężu) bo od czasu do czasu wydawała rzew-
niejsze chrapnięcie, przyczem poruszała niespo-
kojnie nogą, kopiąc mię bezceremonjalnie wy-
krzywionym obcasikiem.

Znudzony długim postojem wyszedłem jesz-
cze raz z wagonu. Przy wejściu na peron jakiś
typowy białorusin, bo oprócz białej odzieży,
miał także długą siwą brodę, podszedł do poli-
cjanta i w rodzimym djalekcie uskarżał się na
kasjera, który nie chciał mu zamienić biletu na
bilet do dalszej stacji, pomimo zaofiarowanej

dopłaty. Tłumaczy, jak może, że gdy kupował bilet to nie wiedział, że koleje zdrożały, więc „marok mu nie chwatało“, to musiał wziąć bilet do bliższej stacji, ale teraz pożyczył sobie „dienieg“ i chce jechać dalej, a „kasyr“ biletu nie daje. Policjant wysłuchał skargi z powagą przełożonej władzy, a wreszcie orzekł:

— Jak nie można, to i niełzia. — Chłopek, widząc, że nic nie wskóra u „pana policmena“ (zabytek po okupantach niemieckich) odszedł zafrasowany, pomrukując niechętnie:

— Ot, naduli pany biednaho muzyka!...

Po godzinnym postoju pociąg rusza w dalszą drogę. Za Kowlem krajobraz ubogi. Łąki, zarosłe wikliną, pastwiska, ugory, rzadko gdzie kawałek obsianego pola, jeszcze rzadziej skrawek lasu, gdzie niegdzie domki napół wrosłe w ziemię. Na wzgórzach kępki jałowców i zagajniki. Z bagien wystają słupki ze szczątkami drutu kolczastego (pozostałość zasiek i okopów dawnej linii bojowej).

Na mniejszych stacyjkach widnieją jeszcze ślady wojny. Niekiedy w pobliżu stacji znajdują się całe stopy zardzewiałych drutów kolczastych. Tu i owdzie widnieje lepianka białoruska, sklecona pomysłowo z blachy znalezionej w okopach. Blachę tę wygięto, przysypano ziemią, z desek zrobiono dwie ścianki z drzwiami i okienkiem — ot i domek gotowy.

Komu podczas wojny spalono chatę, ten z małym nakładem kosztów i starań budował sobie naprędce taką ogniotrwałą siedzibę, którą po dziś dzień zamieszkuje.

Godzina 5-ta i 6-ta. Bagna i łąki białoruskie ustępują miejsca żyznym gruntom ukraińskim. Na małych stacyjkach bardzo długie postoje, wdowa śpi, kupiec drzewny wyszedł gdzieś na małej stacyjce za Kowlem.

W senno podróżniczej atmosferze o godz.

8-ej dojeżdżamy do stolicy kresów wschodnich m. Równego.

O osobliwościach tego wschodniego grodu, pełnego brudów śmieci, niechlujnych straganów i żydowskich chałatów, jak również o dalszej podróży do Zdołbunowa, Krzemieńca i Ostroga napiszę innym razem, bowiem wcale nie życzę sobie, iżby czytelnicy po przeczytaniu nadmiernie długiego opisu doznali podobnego znużenia, jakiego sam doświadczyłem, gdy po 20-godzinnej podróży, rozbiłem swój namiot na gościnnej kanapie u żydka hotelarza w Równem. Zatem pozwolę sobie w tym miejscu zrobić dłuższy przystanek kolejowy... Kto zmęczony, proszę wysiadać!...

W STOLICY WOŁYNIA.

Kto przywykł sarkać przy lada sposobności na nasze władze municypalne, obwiniając je o różnorodne niedomagania gospodarki miejskiej i o to, że „zarząd“ Tow. „Siła i światło“ niepospolicie „silnie“ śrubujące ceny za „światło“, które co miesiąc drożeje niemal w tej samej proporcji, co najbielsza słoninka, ukryta w paskarskim lamusie, — każdemu z takich malkontentów radziłbym wybrać się bodaj, na kilka dni do stolicy ziemi wołyńskiej m. Równego. Tam przekonałby się naocznie, że nasza gospodarka miejska stoi o całe niebo wyżej, że wreszcie i drożyzna u nas jest bez porównania mniejsza, i błoto na ulicach mniejsze i bułki w naszych piekarniach mniejsze, bo przecież znacznie tańsze, słowem przekonałby się, że u nas nie jest jeszcze tak źle, ponieważ gdzieindziej może być jeszcze gorzej.

Zaraz po przyjeździe udałem się do miasta, debatując po drodze nad tem, czemu m. Równem zawdzięcza swą nazwę. Ze względu na falistość

terenu, nierówność bruków oraz dysproporcję w rozmieszczaniu budynków, nazwa miasta każdemu przybyszowi musi wydawać się zgoła niestosowną.

Po dokładnem zbadaniu pryncypalnej ulicy na zasadzie teorii prawdopodobieństwa doszedłem wręcz do zadziwiającego wniosku, że stolica kresów wołyńskich zapewne swą nazwę zawdzięcza dwu głębokim „rowom“, które pod szumną nazwą rzek przecinają główną ulicę i w czas deszczowy czynią istotnie imponujące wrażenie. Jednakże w kilka godzin po deszczu jeden rów zupełnie wysycha, a w drugim, malowniczo umajonym wodorostami, pozostaje akurat tyle wody, że wszystkie kaczki z okolicznych domów mogą zażywać wybornej kąpieli, a co sobotę żydki rówieńskie urządzają tuż przy moście wiosłarskie regaty na trzech łódkach, wynajętych na godziny, wprowadzając w podziw zgromadzoną na moście pleć nadobną z opaloną cerą i mocno kruczemi lokami. Aż padają słowa zachwytu, naturalnie w wschodnio - słowiańskim narzeczu.

— Spójrzcie, Marja Izydorówna, jak ten Szmul Aronowicz „izjaszczno“ jeździ łódką, jak nastojaszczyj morepławatiel! Uj, on się wcale wody nie boi!...

— Jak on ma mieć wodowstręt, kiedy jego ojciec ma fabrykę wody sodowej i owocowej, no i robi na wodzie dobry interes!... wyjaśniła koleżanka podstawową przyczynę zdrojnych inklinacji do tak niebezpiecznego sportu.

Miasto Równe położone jest w dolinie, między dwoma wzgórzami. Właściwe śródmieście stanowi ulica 3-go Maja, ciągnąca się około 5 kilometrów, z jednego wzgórza na drugie, ciasno zabudowana parterowemi lub piętrowemi domami, które bardzo często rozdzielają wąskie zaułki, pełne brudów, koryt, beczek z de-

szczówką. Nad miastem wznosi się dumnie na wzgórzu gmach więzienia, symbol władzy państwowej, naprzeciw zaś II gimnazjum rosyjskie i wspaniały park ks. Lubomirskich. Obok 2-ch cerkwi w śródmieściu znajduje się również piękny kościół katolicki, wreszcie dwie synagogi. Najokazalsze kamieniczki piętrowe zajęte są przez ekspozytury i centrale różnych towarzystw rolniczych, asekuracyjnych i handlowo - przemysłowych. Drobny handel ogniskuje się natomiast całkowicie w rękach żydowskich, co można z łatwością wywnioskować bodaj z treści kwiecistych szyldów, w rodzaju: „Skład manufakturalnych wyrobów“, „Woda jabłki i owoców“, „Skład delikatesów i kiełbas“, „Skład apteczny J. Apteka“, albo też nieco mniejsze szyldziki: „Lekarz J. Kopiejka“, „Starszy lekarzowy pomocnik. Przyjmuje codziennie od 10 — 2 po poł.“ Czasem obok oficjalnego szyldziku widnieje wypisana ręcznie karta: „Lekarz dentysta Awerbuch-Gaško po powroci z zagranicy odnowiła przyjęcie“.

Po zwiedzeniu miasta i pierwszorzędnej cukierni „Eldorado“, która pod względem bezczelności w wystawianiu cen śmiało może konkurować z pierwszorzędnymi zakładami cukierniczymi w Warszawie, powróciłem do hotelu, gdzie wynajęłem za 50.000 mk. na dobę pokój, który miał być za chwilę wolny. Jakież było moje zdumienie, gdy właściciel hotelu, a jednocześnie i właściciel zakładu fryzjerskiego, zakomunikował mi, że ci państwo, co mieli wyjechać w południe, wyjadą dopiero o 6-iej wieczorem. Uczyniłem straszną awanturę, zagroziłem skonsternowanemu hotelarzowi policją, urzędem walki z lichwą, urzędem sanitarnym i oświadczyłem stanowczo, że o ile nie zwróci mi pieniędzy, ażebym mógł poszukać innego hotelu, to... to... to... Ale żydek-ho-

telarz z natury bardzo pojednawczego usposobienia, dał mi fryzjerskie słowo honoru, że numer wieczorem będzie wolny i że gotów ogolić mię gratis, jako rekompensatę za poniesione niewygody, a tymczasem oddał mi do wyłącznej dyspozycji familijną kanapę, stojącą za dębowym kredensem, z którego po przez szpary zalatywała przemiła woń czosnku i majeranku.

Tegoż wieczora odbył się w Równem capstryk wojskowy z orkiestrą i pochodniami, z powodu obchodzonej przez miejscowy garnizon uroczystości poświęcenia sztandaru. Całe miasto wyległo podówczas na ulicę, otaczając zwartem półkolem orkiestrę, która wygrywała bojowe piosenki i hymny pod oknami dowódcy garnizonu.

Odbyła się gremjalna defilada rówieńskiej inteligencji urzędniczej i handlowo-przemysłowej na obydwu chodnikach ul. 3-go Maja. Godne uwagi, że zatrzymujące się na chodnikach grupy policja nie ostrzegała wzorem częstochowskim: „panowie, nie stać, bo spiszę protokół!”, tylko upominała intymnie: „panowie, uważać na kieszenie, bo przy orkiestrze złodzieje się kręca!...”

Co prawda, na chodnikach tych znacznie wygodniej jest stać, aniżeli chodzić, zwłaszcza w ciemne wieczory, gdyż wobec skąpego oświetlenia ulic, nieobeznany z terenem przybysz narażony jest na rozliczne niebezpieczeństwa. Chodniki rówieńskie bowiem tak są pomysłowo zbudowane, że przed każdą piętrową kamienicą, wyłożony płytami chodnik, wyższy jest co najmniej o pół metra, domki parterowe zaś mają chodniki znacznie niższe i niezawsze tak równo ułożone. — Stąd niebezpieczeństwo wywichnięcia nogi lub stłuczenia kolana czyha na każdym kroku, ale zagraża ono jedynie

przybyszom z dalekich stron, gdyż rówieńskie dziewoje skaczą po chodnikach, jak sarny, i nie tylko dziewoje, nawet starsze damy i ludzie całkiem poważni skaczą, ba, nawet ceny na zboże także bajecznie skaczą na rynku giełdowym!...

Nazajutrz, syt wrażeń i specyficznych zapachów opuściłem m. Równe, udając się do Krzemieńca, a stamtąd do m. Ostroga, którego domki i zabudowania podmiejskie leżą już po stronie bolszewickiej, gdzie się znajdują słynne hale targowe, które codziennie odwiedzają kupcy i przemysłowcy z bolszewickiej strony, a często i sami komisarze bolszewicy. Tę najciekawszą część podróży, w której miałem sposobność oglądać z bliska kupców i dygnitarzy sowieckich w czerwonych czapkach lub z czerwonymi gwiazdami na sukiennych „pikelhaubach”, ze względu na obfitość materiału odkładam do następnej niedzieli.

Z KRZEMIENCA DO OSTROGA.

„Słońce chyliło się ku zachodowi”... — zaczynam poetycznie, jak rutynowana powieściopisarka romans obyczajowy — kiedy niepewną stopą stanąłem na peronie stacyjnym w Krzemieńcu. O 5 kilometrów od stacji błyszczały kopuły cerkwi, a ponad wijącą się w dolinie barwną wstęgą miasta, zdobną w pióropusze świeżej zieleni, wznosiła się majestatycznie góra królowej Bony z ruinami zamku. Pięć kilometrów — łatwo powiedzieć, a przy dzisiejszej drożyznie suma to niezbyt wygórowana, ale przebyć taki szmat drogi pieszo, to zadanie nielada, zwłaszcza dla piechura, który nigdy w życiu nie ubiegał się o nagrodę w biegu okrężnym „papu” albo „pacu”. Wszelako przy szczyrych chęciach i wobec twardego musu prze

byłem ten dystans, wkraczając nogą zwycięską w śródmieście. Obejrzałem ze wszystkich stron gmach słynnego Liceum Krzemienieckiego, które niestety, było podówczas zamknięte, przyjrzałem się zbliska górze królowej Bony, aż wreszcie syt wrażeń historycznych wstąpiłem do jedynej przyzwoitszej jadłodajni „Udziałowej”, pomny na przysłowie: „mens sana in corpore sano”.

Po spożyciu porcji barszczu małosyjskiego i dwu „gołąbków” w kapuście (zrazy siekane z ryżem) wyruszyłem w powrotną drogę. O 10-ej wieczorem byłem już w Zdobunowie, dużej wsi ukraińskiej, gdzie krzyżuje się kilka linii kolejowych, a następnego dnia po godzinnej podróży stanąłem w Ożeninie, małym przystanku kolejowym, oddalonym o 15 kilometrów od granicznego miasta Ostrogu.

Jestem zdania, że ministerstwo zdrowia i wszelkiej pomyślności, w imię uczuć humanitarnych powinno w Ożeninie postawić słup, a na nim czarną tablicę z napisem: „Jedziesz do Ostrogu — poleć duszę Bogu!” Nie dlatego bynajmniej, że Ostrog leży na samej linii granicznej, ale dlatego, że do miasta prowadzi tak fatalna droga pełna gór i wyboi, o jakich się nawet żadnemu ławnikowi częstochowskiemu nie śniło.

Do rozklekotanej dryndy wsiało pięciu pasażerów: na „honorowych” miejscach — ja i jakiś doktor z Dubna o semickim wyglądzie, (płacąc po 25.000 mk. od osoby) na przednim zaś siedzeniu dwóch policjantów, transiokowanych ze Lwowa do Ostroga, a pośrodku nich kupiec żydowski z olbrzymią walizką, którą umieścił na kolanach po części własnych, a po części wszystkich pasażerów. Ruszyliśmy, kołując się na różne strony, co czyniło wrażenie morskiej podróży, tem więcej, że stężałe gru-

dy ciemnego błota osobom o bujnej imaginacji mogły przypominać rozhukane bałwany Czarnego morza. W połowie drogi wehikuł przystanął przy wjeździe na dość wysoką górę i wszyscy pasażerowie poczęli wysiadać. Jeden tylko kupiec z walizką, snać do podobnych przepraw przywykły, zachęcał woźnicę:

— Kenne furen, hob nys ka mojre! (Możesz jechać, ja się nie boję)..

Ale dryndziarz obruszył się na upartego pasażera (notabene za 15.000 mk.) i zmusił go do wyjścia. Okazało się, że pod górę, para koni z ledwością wciągnęła pustą dorożkę, ale zato z góry same koła popędzały konie, tłukąc je niemiłosiernie po nogach (hamulce przy wozach w tej okolicy są zupełnie nieznane).

Gdy wsiedliśmy z powrotem do dorożki zaczął pokrapiać rzęsisy deszczyk. Przeworny „wracz” postawił budę, która co chwila się obsuwała. Żirytowany lekarz zaczął coś ręką majstrować przy zawiasach na zewnątrz, ale w tym momencie buda się obsunęła przycinając mu boleśnie palec u prawej ręki:

— Aj waj mir! — wykrzyknął w rodzimym żargonie „dubieński lekarz” i zaczął z bólu okrwawionym palcem rozpaczliwie wymachiwać w powietrzu, co miało oczywiście ten skutek, że krople krwi przyskały na różne strony, nie szczędząc bynajmniej garniturów najbliższych sąsiadów.

Dopiero natychmiastowa interwencja jednego z policjantów, który z oburzeniem wykrzyknął:

— Cóż, u choroby, pan nas tak babrze na czerwono! — przerwała ten krwawy przyszcik. Drugi policjant, któremu kropla krwi na czubek nosa upadła, wyjął nawet notes, celem spisania protokołu z powyższego zajścia. Ale, nie wiedząc z kogo spisać protokół, czy z dryndziarza

za to, że miał budę zepsutą, czy z doktora za to, że włożył palec tam, gdzie nie trzeba, po namyśle i urzędowej admonicji starł kroplę czerwona z nosa i schował notes do kieszeni. A ja, jako najwięcej poszkodowany, ze względu na bliskie sąsiedztwo z ofiarą krwawego zajścia, westchnąłem boleśnie, szepcząc w duchu srogie zaklęcie:

„Oby ta krew niewinnie przelana na mój popielaty garnitur i świeżo wyprany półkoszulek spadła na głowy municypalności m. Ostroga!... (Całe szczęście jeszcze że praczki tamtejsze nie cenią tak wysoko swej pracy i nie biorą po 10000 mk. od półkoszulka).

Dalsza część podróży upłynęła nam na wywabianiu prymitywnym sposobem krwawych śladów z garniturów, do czego nam w znacznej mierze dopomógł coraz obfitszy deszczyk. Po dwugodzinnej podróży stanąłem wreszcie w Ostrogu w hotelu „Victorji“, jedynym przybytku noclegowym, którego właściciel nosi brodę ogoloną.

Po krótkim wypoczynku udałem się do starostwa, gdzie przyjął mnie bardzo życzliwie zastępca starosty inż. Władysław Wronowski, udzielając mi informacji o halach targowych, zbudowanych tuż na granicy, i o handlu z Bolszewją, który w ostatnich czasach znacznie osłabł ze względu na represje bolszewickie, stosowane do przemytników. Gdy oświadczyłem memu rozmówcy, że przybyłem aż z Częstochowy, żeby zobaczyć bolszewików, ten odparł:

— To nie potrzebuje się pan fatygować do hal, bo mogę ich panu zaraz pokazać.

Przy tych słowach otwarł drzwi do korytarza, ukazując mi kilku oberwańców, przyłapanych w Ostrogu, przyczem zażądał jednego:

— Ty za czem przyszoł?

— Pryszoł sztany kupiti, proszu pana! — odparł zagadnięty przemytnik.

Na przyłapanych na terytorjum Ostroga przemytników urząd starostwa nakłada karę do 50.000 lub w rzadkich wypadkach stosuje areszt do 3 miesięcy. Kupcom rosyjskim i szmuglerom dozwolony jest jedynie wstęp do hal targowych, które ze wszystkich stron obwiedzione są drutem kolczastym, mając jedynie wolne wyjście do lasu. Każdy więc przemytnik, czyli po tamtejszemu „baracholszczyk“ musi się przekradać do hal nocą, poczem cały dzień spędza w halach, a za nadejściem nocy z tobotkiem towaru powraca tą samą drogą. O ile wejście do hal nie natrafia na poważniejsze trudności, gdyż w danym wypadku posterunki bolszewickie wykazują wielką pobłażliwość, o tyle wyjście z towarem jest całkiem niebezpieczne, ponieważ pikiety bolszewickie strzelają do „baracholszczyków“ jak do zajęcy, o ile ci nie chcą się zatrzymać na wezwanie „stój!“ Właściwie polują oni nie na przemytników, tylko na towar, który w wypadkach przytrzymania odbierają bezpośrednio, a samego przemytnika puszczają na wolność. To też wieczorami bardzo często odgłosy strzałów w lesie dolatują do miasta, co oznacza, że rozpoczęło się polowanie na szmuglerów. Inaczej urządzają się jednakże poważni kupcy, którzy zakupiwszy dużą partję towarów, asekurują ją łapówkami u komisarzy i granicznych kontrolerów. Taki towar zazwyczaj szmuglują sami czerwonogwardziści, którzy w danej chwili nie pełnią służby na granicy.

Otrzymawszy powyższe informacje od p. Wronowskiego oraz przepustkę jednodniową na wejście do hal, do których dostęp z naszej strony mają jedynie kupcy i subjekci handlowi, zatrudnieni w halach, powróciłem do hotelu, mając najszczęśliwszy zamiar zwiedzić halę i

obejrzeć zbliżoną granicę. Dalszy mój pobyt w Ostrogu oraz „wywiad z bolszewikami” ze względów technicznych zmuszony jestem odłożyć do następnej sposobności.

Proszę mi wybaczyć, iż tak przydługimi opisami zajmuję szpalty, ale w każdym bądź razie sędzę, że lepiej tego rodzaju historię czytać, aniżeli doświadczyć tak uciążliwej podróży. Kogo już jednak zbyt nudziłem, ten może z czystym sumieniem, bez jakiegokolwiek urazy z mej strony, następnym „szkiełkiem” nie czytać, a kogo to zajmuje, ten niech mi napisze: „Panie Acer, opisz dalej swój spacer”, to mię zachęci do dalszej pracy i na przyszłą niedzielę wysztyftuję takiego „tasiemca”, że po przeczytaniu go zblednie nawet najczerwieńszy adorator czerwonej gwiazdy.

NA GRANICY BOLSZEWICKIEJ.

Drugiego dnia mego pobytu w Ostrogu, zwiedziłem Muzeum zabytków strożytności, które znajduje się w części dawnego zamku książąt Ostrogskich, na dosyć wysokim wzgórzu. Kustoszem Muzeum, które obecnie przeszło na własność państwa, jest p. Eljasz Światopełk-Zawadzki, b. pułkownik wojsk polskich.

Sympatyczny siwy staruszek, starannie wygolony i dziarskiej postawy, wskazał mi księgę zwiedzających do wpisania swego nazwiska.

Pułk. Zawadzki, gdy się dowiedział, że jestem dziennikarzem, przyjął mię bardzo serdecznie, na dowód życzliwości podarował mi podstawowe dzieło historyczne Stanisława Kardaszewicza p. t. „Dzieje dawniejsze m. Ostroga”. Następnie oprowadził mię po trzech dużych salach, które zajmuje Muzeum, ukazując zabytki starożytności, jako to: portrety

książąt Ostrogskich, narzędzia przedhistoryczne, naczynia kamienne, kły mamuta, buńczuki, pistolety i wiele innych, nie mniej ciekawych przedmiotów.

— Czego tu niema! nawet damska konfekcja tu się znajduje — zauważyłem, wskazując na suknię z zielonego atłasu, wyszywaną w różowe kwiaty

— To jest oryginalna suknia carycy Katarzyny II — objaśnił mię pułkownik.

Z pietyzmem, należnym królewskiemu majestatowi dotknąłem zielonego atłasu sukni, której szelest ongi wprawiał w nerwowe drżenie trwogi i niepewności nawet nieustraszone serce zapijaczonego grafa Patiomkina. Nic też dziwnego, że i mnie w owej chwili zabiło żywiej serce, naturalnie nie z trwogi, tylko ze wzruszenia, że tak bezpośredni kontakt nawiązałem z galową szatą wszechwładnej imperatrycy.

Po dokładnem obejrzeniu tego atlasowego zabytku, wyszliśmy na taras Muzeum, skąd roztaczał się piękny widok na okolice. U stóp wzgórza leżał Ostróg, to starożytne w miarę czyste i dość ruchliwe miasteczko powiatowe, dalej widniały skręty rzeki Wilji i Horynia, a jeszcze dalej pod siną wstęgą lasu hale targowe, droga rozgraniczająca nasze terytorjum od bolszewickiego i wieś bolszewicka Słobódka.

Na tarasie Muzeum znajdowały się dwa moździerze oraz trzy działa z XV wieku, zwrócone wylotem w stronę bolszewickiej granicy. Swego czasu, gdy pułk. Zawadzki wystawił zardzewiałe działa na taras wśród żydków ostrogskich, zapanował popłoch, bowiem ktoś puścił pogłoskę, że nowa wojna z bolszewikami się rozpoczyna. Dopiero po kilku dniach, gdy nawet najtrwożliwi kupcy przyzwyczaili się do widoku armat, nastąpiło uspokojenie.

Po zwiedzeniu Muzeum udałem się natychmiast do hal targowych, zbudowanych w odległości dwóch kilometrów od Ostroga. Gdy wszedłem na odrutowane terytorjum i zobaczyłem grupy przemytników i przemytniczek bolszewickich, obozujące na trawniku, owładnęło mną uczucie niepewności, gdzie się mianowicie znajduję, czy na polskiej, czy na bolszewickiej stronie. Ale widok polskich kupców i subjektów handlowych dodał mi bodźca. Obszedłem wszystkie sklepy mieszczące się w trzech dużych budynkach drewnianych, przyglądając się z zaciekawieniem tym niepowszednim transakcjom handlowym. W jednym ze sklepów dwóch dygnitarzy bolszewickich w czerwonych czapkach i wojskowych unifomach, kupowało jedwabną trykotinę i pasy angielskie, płacąc za kupiony towar złotymi dziesięciorubłówkami. Mniej zasobni w złoto przemytnicy nabywali chustki, buty, żelazne narzędzia, płacąc złotem, srebrem albo markami polskimi.

Jeden z kupców opowiedział mi fakt, że przed niedawnym czasem, tuż za drutem kolczastym rozegrała się charakterystyczna scena. Oto pewien „baracholszczyk” kupił cztery „buksy” (kapiszony do osi) i podczas obozowania na trawie przegrał je w karty. Nie mogąc odzłować straty, niefortunny gracz skradł te same „buksy” i momentalnie dał „szczupaka” przez druty na stronę bolszewicką. Ale na nie szczęście, przyłapał go tam sam kontroler graniczny „towariszcz” — Rosenbaum, który w nie możliwy sposób zaczął go bić po twarzy i morderczo. — Gdy komisarz wymierzał surową karę „baracholszczyk” stał jak wryty, tylko od czasu do czasu zachwiał się przy silniejszym uderzeniu, ale kiedy mu odebrał skradzione „buksy”, które trzymał w ręku, tego już było za wiele, opróżnioną prawicą z całej siły kropnął w

nos kontrolera, druzgocąc w drobne kawałki ozdobne binokle w złotej oprawie. Na wszczęty alarm nadbiegli czerwonogwardziści, którzy przytrzymali uciekającego „baracholszczyka”.

— Na razstrzel jowo! — wydał rozkaz czerwony komisarz którego czerwoność potęgowała jeszcze krew strumieniami z nosa płynąca.

Żołnierze poprowadzili ujętego przemytnika w las, za najbliższą górkę.

— Daj wintowku! — zwrócił się, pałający zemstą kontroler do żołnierza: — ja jowo sam zastrielu!

...I wkrótce za górką w lesie rozległ się strzał, potem drugi, a za chwilę trzeci i czwarty.

Z za góry wyłoniła się postać komisarza, który nerwowym krokiem spieszył do domu. Po chwili z za góry wyszli i żołnierze, śmiejąc się i żywo rozprawiając. Z wyjaśnień żołnierzy, udzielonych zaciekawionym kupcom, okazało się, że komisarz, chcąc zabawić się trwogą przemytnika, postawił go pod sosną i mierzył umyślnie ponad głową, ażeby go dłużej torturować. Ale gdy po dwóch wystrzałach ten poczuł, że jeszcze żyje, nie czekając aż komisarz zarepetuje karabin, błyskawicznie czmychnął w las. Komisarz wystrzelił za nim dwa razy, lecz chybił i przemytnik zbiegł szczęśliwie...

Wysłuchawszy tej historii, która „krwawo” zakończyła się jedynie dla czerwonego kontrolera, udałem się w towarzystwie dwóch kupców naokół odrutowanego terytorjum. Tuż przy drodze, za drutem kolczastym na trawniku w rowie, siedziało kilku dygnitarzy sowieckich w różnorodnych uniformach z naszywkami i znaczkami na rękawach. W grupie tej znajdował się i obecny kontroler graniczny Iwanow, naznaczony na miejsce dawnego komisarza Rosenbauma, zaarrestowanego za łapownictwo. Dygnitarze, popijając limonadę, nie zwracali na nas najmniej-

szej uwagi. Dopiero gdy jeden z kupców zakomunikował kontrolerowi granicznemu, że jestem dziennikarzem i zwiedzam pranicę, „komandir brygady” w czerwonej czapce zwrócił się do mnie zapytaniem:

— A cóż, w Częstochowie już jest spokojnie?

— Hm, było i jest spokojnie.

— Nu, tam były strajki, policja strzelała do robotników....

— A skąd to takie wiadomości? — zapytałem zaciekawiony.

— Eh, my wszystko wiemy! A czy pan myśli, że ja nie byłem w Częstochowie?...

— To niemożliwe! — potrząsnąłem z niedowierzaniem głową.

— Nu, naturalnie, ja tam byłem nie tak ubrany, jak teraz...

Tu wtrącił się do rozmowy starszy już wiekiem kupiec:

— Pan myśli, że oni nie szpiegują? to wszystko szpicle i bandyci.

— Nu, ty, staryj chrjen, nie bołtaj mnowo!... — odpalił mu natychmiast urażony komandir...

Po wyjściu z hal, gdy szedłem tuż przy drodze granicznej, zaczął mnie jeszcze kontroler ze zwodnym, który rozstawia pikiety, zapraszając na mleko do pobliskiego domku, w którym mieszkał. Podziękowałem serdecznie za zaproszenie, ale nie miałem odwagi skorzystać z gościnności, tem więcej, że dowiedziałem się, iż w grupie dygnitarzy bolszewickich znajdował się i szef czerezwyczajki (prezident granicznawo politiceskawo uprawlenja). „Taka gościna” — pomyślałem sobie w duchu: — mogłaby się źle skończyć, bowiem dygnitarze sowieccy mogliby mnie tak sobie dla „szutki” „obaracholić” z zegarka i garderoby a potem puściliby mię w mocno niekompletnem neglizju na terytorjum

Ostroga. I cobym wówczas począł? Chyba że ulitował by się nademną pułk. Zawadzki i pożyczylby mi jakich historycznych ineksprymablil...”

Nazajutrz rano opuściłem Ostróg, drugiego dnia stanąłem we Lwowie, trzeciego w Krakowie, a czwartego już patrzyłem przez „zakopcone szkiełka” na rozkopaną ulicę przed naszym szpitalem, która przypominała mi i zdaje się że jeszcze długi czas przypominać będzie niezapomnianą podróż do Ostroga.

Z PODRÓŻY POD WŁOSKIE NIEBO.

— Już pan powrócił? Tak prędko?... — Co, już się urlop skończył? Jakież tam wrażenia z podróży?...

Takie mniej więcej lub podobne pytania rzucało mi na powitanie 99 procent krewnych, przyjaciół i znajomych po powrocie z mej wakacyjnej wycieczki do Włoch.

Płeć żeńska natomiast zdradzała zainteresowanie w innej dziedzinie ciekawości:

— Jakże się panu podobały włoszki? Czy także noszą krótkie włosy i krótkie suknie?

— Owszem, owszem! — odpowiadałem z rezygnacją ochrypłego gramofonu: — włoszki tak samo noszą krótkie włosy i jeszcze krótsze sukienki, oczy przeważnie mają duże i czarne, włosy utlenione, skórę, nadającą się do wyrobu żółtej giemzy..

— A czy są przystojne?

— Owszem, jak młode to przystojne, ale prędko się starzeją i brzydą — stare prędko umierają, — słowem życie na południu pulsuje przyspieszonym tętnem.

— A co noszą?

— Na głowie kapelusze, a w ręku torebki, parasolki lub wachlarze...

— Ale nie o to chodzi, tylko jak się ubierają?

— Kolorowo, pstrokato, ubogo i bogato, jak którą stać na to!...

Wyznać muszę, że o ile 48-godzinna podróż w dusznym przedziale wagonu, przy dudniącym łoskocie kół, sapaniu lokomotywy, warkocie gwizdków konduktorskich, wykrzykiwaniu stacyjnych chłopców: „Bi-ier... Frische-wasser... Milch...” — o ile ten monotony chaos może doprowadzić osoby o wrażliwych nerwach do stanu depresji i znieczulenia wrażliwości, o tyle stereotypowe pytania znajomych: „Co słyhać za granicą?” mogą nawet osobę bez nerwów wyprowadzić z równowagi.

Jakże, bo możliwe sto lub dwieście razy dziennie opowiadać wszystko od początku, tem więcej gdy się nie posiada talentu narracyjnego, podmiejskiej kumoszki, która z zamiłowaniem opowiada każdemu z osobna wszystkie detale dwunastoaktowego dramatu filmowego z „Odeonu” lub kina „Nowego”...

Nie mam też najmniejszego zamiaru opisywać dokładnie swych wrażeń, skreślę więc tylko kilka uwag na temat niewygód i przyjemności podróży, tudzież krótkoterminowego pobytu w renomowanych miejscowościach kąpielowych, jak Lido i Portorose.

Ponieważ zatrzymałem się na kilkanaście godzin w Wiedniu, wspomnę nawiasem, że korzystając z wygodnej okazji, zwiedziłem najwspanialsze dzielnice b. stolicy Habsburgów, w której szylingi równie potoczyscie płyną jak w Warszawie złote. Chociaż naogół lepiej można żyć w Wiedniu za 10 szylingów, niż w Częstochowie za 10 zł. dziennie, mimo że 10 szylingów stanowi wartość 8 zł. Za numer w hotelu, tuż przy dworcu południowym zapłaciłem 5 szylingów, a czyż w Częstochowie mo-

żnaby znaleźć numer w hotelu za 4 złote? Chyba tylko w hotelu Emigracyjnym na Stradomiu. A samochody, które w Wiedniu już całkowicie wyrugowały konne dorożki, także są tanie, kurs jazdy począwszy od 1 szylinga, zależnie od przebytego dystansu. Ale to nic dziwnego — koń dorożkarski przecież czy jeździ, czy próżnuje, jeść musi, a samochód wtedy tylko benzynę zużywa, gdy jest w ruchu.

Z Wiednia wyruszyłem pociągiem południowym i już po dwóch godzinach jazdy z okien wagonu rozlaczał się wspaniały widok na malownicze pasma gór Sömmeryngu. Lokomotywa, sapiąc i dudniąc biegła wężową linią górską, usianą tunelami... Widok z obydwu stron zachwycający, powietrze przepojone aromatem ziół górskich wywiera magiczny wpływ na pobudzenie apetytu. To też siedząca vis-a-vis sympatyczna i zgrabna wiedenka, jadąca w towarzystwie ciotki czy też starszej kuzynki, zakrzętała się około waliz i kufrów podróżnych, wyjmując kolejno: buterbrody z szynką, jajka na twardo, rzodkiewkę, powidła i inne smakołyki.

Pociąg mknie, chwiejąc się na częstych zakrętach, sąsiadki smakowicie zajadają, patrząc w okno wagonu. W pewnym momencie młodsza powstaje i wychylając się przez okno wykrzykuje w zachwycie:

— Patrz, Emma, jaki cudny wierzchołek góry! . . .

— Tak, to zachwycający widok!...

Z nadmiaru zachwyty ścisnęła tak mocno bułkę z powidłami, że wielki krwawy sopel upadł mi na kolano.

— Ach, przepraszam!... — rzekła zapłonią jak piwonja.

Narazie nie wiedziałem, za co mię przeprosza, gdyż na bułkę z powidłami nie zwracałem

uwagi, ale gdy zobaczyłem powidła na kolanie— zmartwiałem ze zgrozy. Gdyby najwyższy szczyt skalisty Sömmeringu oberwał się i runął w przepaść, nie zrobiłoby to na mnie takiego wrażenia, jak ten mizerny sopelek powideł, który mi upadł na jasny garnitur.

Skonfundowana sąsiadka, widząc moje przeżalenie, wyjęła natychmiast chusteczkę, pragnąc rozsmarować mi powidła na kolanie, ale podziękowałem jej za tę przysługę. Z rozmowy, jaka następnie się zawiązała dowiedziałem się, że nazywa się Valentine Kimel, mieszka w Wiedniu w IX bezirku przy ul. Kinderspitalgasse 12, że prowadzi z mamusią, magazyn szycia, przyczem oświadczyła mi, że jak będę wracał z Włoch, to mogę wstąpić do nich w Wiedniu to mi płamę wywabi.

Podziękowałem serdecznie za gotowość wyświadczenia mi tej gospodarczej przysługi i zapisałem sobie dokładny adres w notatniku: w podróży wszystko się może przydać. Wkrótce moje sąsiadki opuściły przedział, wysiadając na małej stacyjce okolonej zewsząd górami, a ja wszcząłem rozmowę z jakimś wiedeńczykiem, który przez 3 lata był na Syberji, jako jeniec rosyjski i popisywał się przedemną rosyjsko-czeskim żargonem.

O godz. 12-iej w nocy wsiadłem w „sznel” aż do znużenia malowniczym widokom górskiej panoramy, przybyłem do Gratzu, gdzie wysiadłem na kilka godzin, mając zamiar oczekiwać na pociąg pośpieszny, który bezpośrednio jedzie do Trjestu po przez terytorjum Jugosławji.

O godz. 12-iej w nocy wsiadłem w „sznelcug” mając bilet tylko do ostatniej stacji austriackiej, na której zamierzałem nabyć bilet do Trjestu. Tymczasem na małej pogranicznej

stacyjce nie mogłem ani zmienić pieniędzy ani biletu wykupić.

To też wszedłem z jugosłowiańskim „zelezniczarem” w pertraktacje, wynikiem których zapłaciłem mu 3 dolary za bilet przez terytorjum jugosłowiańskie (około 7-miu godzin jazdy). Jak przekalkulowałem następnie tę sumę na dynary doszedłem do przekonania, że brat jugosłowianim okpił mnie na 1 dolara. Ale niech mu tam wyjdzie na użytek ta mimowolna czy rozmyślna pomyłka! Zawszeć to cenna waluta amerykańska nie pójdzie na marne, lecz pozostanie w wielkiej rodzinie słowiańskiej.

Natomiast przyznać trzeba, że jugosłowiański konduktor był dla mnie wyjątkowo uprzejmy i usłużny (może za tego dolara, który w tak łatwy sposób zarobił). Na granicy włoskiej wykupił mi bilet do Fiume. To też gdy o godz. 7-iej rano w wagonie ukazał się włoski konduktor, oświadczył mi, że już minąłem stację, na której trzeba się przesiąść jadąc do Fiume. Za pośrednictwem inteligentniejszego włocha, znającego język francuski, wytłumaczyłem mu, że jadę do Trjestu i że jugosłowiański konduktor wykupił mi niewłaściwy bilet. Konduktor wzruszył ramionami i zażądał dopłaty 7-miu lirów. Oczywiście natychmiast uiściłem tak niewielką sumę, ale uczyniłem też wówczas niezłomne postanowienie, że już w drodze powrotnej nie będę spekulował na nabywanie tańszych biletów od granicy do granicy, lecz wykupię bilet bezpośredni Wenecja — Wiedeń.

W Trjeście stanąłem w pierwszorzędnym hotelu „Palace - Excelsior” z tej prostej racji, że innego narazie nie mogłem znaleźć. Z okiem numeru roztaczał się piękny widok na wspaniałe urządzone i ruchliwy port, gdzie zlekka kołysały się na modrych falach setki łodzi rybac-

kich oraz stały nieruchomo olbrzymie okręty transatlantyckie.

Równoległe z przystanią nad brzegiem morza idzie czysto utrzymany bulwar, wysadzony kasztanami. Spacerując wieczorem po tym bulwarze i napawając wzrok cudnym widokiem czerwonej tarczy wylaniającego się z nad ciemnej toni wód księżycy, przyglądałem się z ciekawością tamtejszym mieszkańcom, smagłym i ogorzałym od słońca, ruchliwym i pełnym temperamentu.

Tak samo tam, jak i w naszych alejach czuły się na ławkach parki z tą tylko różnicą, że miast urywanych szeptów lub okrzyków: „Niech się pan odsunie bo jeszcze kto zobaczy“... albo: „Oj, za bardzo sobie pan pozwala“... — dochodził do ucha śpiewny bełkot cudzoziemskiej gwary.

Zatopiony w refleksjach na temat zwyczajów i obyczajów ludów południowych, siadłem na osamotnionej ławce, przyglądając się błyskom wirujących olbrzymich latarni morskich, dających ostrzegawcze sygnały zbliżającym się do portu okrętom. Naraz z melancholijnej zadumy wytrącony zostałem niezwykłym zajściem. Oto na tej samej ławce usiadła młoda i zgrabna włoszka o tak płomienistych oczach, że na ich widok zrobiło mi się gorąco i pot kroplisty wystąpił na czoło. A ta szelma widząc moje zażenowanie, zagadnęła mię uśmiechem:

— Buona sera, signoro! Egli é forestiero certamente? (Dobry wieczór panu! Pan jest pewnie cudzoziemcem?)

— Sì, io sono polacco — odpowiedziałem bez zająknięcia, zapytując ją z kolei, czy rozmawia po niemiecku lub francusku.

— Tylko po włosku! — otrzymałem odpo-

wiedz, przyczem puściła w ruch język, jak kołowrotek.

Piąte przez dziesiąte zrozumiałem, że ona nie lubi Niemców, że Polaka pierwszy raz w życiu widzi zbliska, a w końcu oznajmiła mi, że o tej porze odbywa się koncert orkiestry wojсковej na jakimś placu.

Oczywiście była to przymówka, żeby tam z nią pójść na lody lub wino, ale ja pomimo że z potocznej rozmowy wiele rozumiałem, z powodu pokrewieństwa języka włoskiego z językiem francuskim i łacina, jednakże prowadzić konwersację było mi trudno. Umiałem poprawnie wypowiedzieć tylko dwa zdania: „Quanto costa?“ i „Cio costa troppo!“ (Ile kosztuje? — To kosztuje za drogo!)

A każdy przyzna, że tak ograniczona ilość zwrotów do prowadzenia salonowej konwersacji z niewiastą jest mocno niewystarczająca.

Wobec czego udałem, że nic zgoła nie rozumiem, co ona do mnie mówi. Zniecierpliwiona włoszka wkrótce opuściła ławkę, żegnając mię obiecującym uśmiechem. Odetchnąłem z ulgą. O godz. 11-ej powróciłem do swego numeru, a nazajutrz o 8-mej rano już byłem na pokładzie parostatku, wiozącego sporą liczbę pasażerów do Pirano i Porto - Rose.

W tem miejscu pozwolę sobie na małą przerwę, bowiem nawet pociąg kurjerski tak bezpośrednio nie zajędzie do Trjestu, jak ja w swem opowiadaniu zajechałem. A zatem jak spędziłem 2 dni w Porto - Rose i 10 dni w Wenecji opowiem w następnym feljetonie.

Z PORTO - ROSE DO WENECJI.

Po półgodzinnej podróży błękitnym szlakiem wód Adriatyku parostatek zawinął do Pirano, starożytnego miasteczka, położonego na pobliskiej wyspie, a następnie po 10 minutach

przybił do cudnej zatoki róż — Portorose. Tuż obok statku uwijały się małe czółenka z żeglarzami w kąpielowych kostjumach. No wybrzeżu po przybyciu statku oczekiwała kąpielowa societą, wafasająca się bezcelowo i apatycznie po jedynej pryncypalnej ulicy, biegnącej wzdłuż zatoki, u podnóża łańcucha kopulastych gór, usianych willami.

Nabrękle od tłuszczu opalone twarze kąpielowych próżniaków, wymownie świadczyły o wygodach sybaryckiego żywota. Zewsząd dolaływały dźwięki mowy jugosłowiańskiej, czeskiej, bułgarskiej i niemieckiej.

Po godzinnych poszukiwaniach mieszkania w pobliskich hotelach, gdzie otrzymywałem jedyną odpowiedź: „tutta ocupata!” (wszystko zajęte), udało mi się znaleźć w willi St. Lorenza mały pokoik za 20 lirów na dobę, (oczywiście bez utrzymania) i w dodatku pod warunkiem, że tylko zatrzymam się na dwie doby, ponieważ pokój ten jest już zamówiony.

Zgodziłem się na warunek, tembardziej, że odpowiadał w zupełności moim intencjom, ile że dłużej nie miałem najmniejszego zamiaru zabawić w tym różanym porcie.

I z pewnością nie wytrzymałbym dłużej. Od godz. 10-ej rano do 12-ej w południe, od 2-ej po południu do 6-ej wieczorem i od 8-ej wieczorem do 12-ej a nawet 1-ej w nocy grał mi tuż pod oknem w ogrodzie „jazz-band”, a na wywoskowanej podłodze przed estradą orkiestry tańczyło czasem kilka, czasem kilkanaście, a późnym wieczorem kilkadziesiąt par z pośród pensjonariuszów willi. Tego rodzaju dancingi i zespoły „jazz-bandowe” posiada każda większa willa w Portorose. To też wieczorem cała dolina tonie w powodzi dźwięków muzycznych i refrenów chóralnych jazzbandzistów: „tralla—la tralla—la, tra—la, tra—la, tralla—la!...”

W cichy letni wieczór, gdy stłumione zieleńią sadów echa muzyczne obijają się o góry, rozlewając się następnie po spokojnej toni morza tego rodzaju koncerty posiadają swój urok. Ale gdy wrzaskliwe „jazz-bandy” brzęczą bez przerwy przez cały dzień, powtarzając poraz dziesiąty i setny tę samą melodię — to może doprowadzić do pasji nawet największych miłośników muzyki. To też na drugi dzień słuchałem cierpliwie „trallalowych” serenad do południa, a po drugim śniadaniu, gdy w ogrodzie rozległy się pierwsze akordy fortepianu, udałem się pieszo — hen, przed siebie, byle być dalej od brzęczących kapel i ogródkowych dancingów.

Na krańcu zatoki, tam gdzie kończy się pasmo will a zaczyna spokojna uboga i brudna wieś włoska, zauważyłem na polach przy brzegu morskim jakies dziwne wiatraki żaglowe, które poruszane wiatrem pompowały wodę z morza na duże kwadratowe pola.

Z wielkim trudem udało mi się dowiedzieć od okolicznych włóscian, zajętych ładowaniem warzyw na małe furki zaprzężone osiołkami, że owe wiatraki i pobliskie domki są to warzelnie soli, którą włósci wydobywają z wody morskiej.

Taka sól, wydobyta z wody w zatoce kąpielowej musi z pewnością posiadać specyficzny posmak brązowych kształtów kąpiących się kuracjuszek. Może nawet jest i smaczniejsza od naszej, ale spróbować jej nie miałem chęci.

Włochy to naród przemyślny. Potrafią oni z listka sałaty sporządzić wytworne danie, z wody morskiej umieją sól wydobyć, a z kieszeni cudzoziemca zachętą i usługowością wydobędą ostatniego lira.

Po spożytym o godz. 7-ej wieczorem obiedzie, złożonym z jakiegoś cudownej zupy, upieczonego na oliwie czy też fryturze mięsa z zielonemi badyłami szpinaku, wreszcie sera, brzoskwiń i

wina, udałem się na dancing do ogródka, gdzie kąpielowe syreny o głowach apokaliptycznych meduz, przeżyły w tanecznych lansadach swe pergaminowe kształty. Ani jednej ładnej twarzy kobiecej, ani jednej smukłej a zgrabnej kibicil... Znudzony tem widowiskiem tańczących mumji wkrótce udałem się na spoczynek, zasypiając przy dźwiękach kapeli. Nazajutrz o godz. 8-iej rano byłem już na statku, zdążającym do Trjestu, skąd o godz. 9 rano wsiadłem do dużego okrętu, kursującego między Trjestem a Wenecją.

Po pięciu godzinach podróży uczynił się ruch na pokładzie okrętu. Oto już ukazały się kopuły i gotyckie wieże Królowej Adryatyku. Za chwilę wyłonił się rząd kamiennych budowli, jakby wyrastających z morza. Wreszcie zajaśniał bielą marmurów wspaniały pałac dożów otoczony kolumnadą i olbrzymi obelisk z lwem skrzydlatym — godłem Wenecji.

Przy placu św. Marka, nawprost historycznej dzwonnicy okręt przystanął. Wnet zaroilo się naokół od czarnych gondoli, zamęt pośpiechu na okręcie mieszał się z krzykami gondoljerów, kłócących się o kolejność podjazdu. Do każdej gondoli wsiadało po 5 lub 6 pasażerów, których to specyficznie weneckie czołno, długie a ruchliwe i wywrotne, zaopatrzone na przodzie żelaznym ostrzem dowoziło do brzegu. Po nużącym oczekiwaniu nadeszła i na mnie kolej. Za przejazd do brzegu zapłaciłem 1 lira (20 gr.) w przystani wpadłem wprost w objęcia jakiegoś portjera a zarazem właściciela węgierskiego hoteliku, który zaofiarował mi gościnę za 20 lirów na dobę.

Przez ruchliwy plac św. Marka, ze stadem dziwnie obłaskawionych gołębi, które cudzoziemcy karmią z ręki ziarnem, po przez ciasne

uliczki z łukowymi mostami przez kanały, dostałem się do owego hotelu.

Wenecja na każdym przybyśzu czyni zdumiewające wrażenie. Dziwne to zaiste miasto! Wyrasta ono z morza półkolem precudnej panoramy europejskiego miasta z plejadą starożytnych gmachów z labiryntem wązkich uliczek, kanałów i mostów. Miasto nawskroś oryginalne, jedyne na świecie, gdzie niema ani dorożki, ani samochodu, a więc pozbawione turkotu ulicznego i tumanów kurzu i dymu od samochodów — gdzie tylko czarne chyże gondole uwijają się zwinnie.

Zaraz na drugi dzień udałem się parostatkiem na Lido. Bilet kosztuje 80 centów (16 gr.) przystań tuż przy placu św. Marka. parostatki odchodzą co 10 minut — komunikacja zatem bardzo wygodna.

Dzień był upalny i duszny, na słynnej europejskiej plaży ruch był przeto ogromny. Wykupiwszy bilet w zakładzie kąpielowym za 2 liry 50 (łącznie z wynajęciem kabiny i wypożyczeniem kostjumu kąpielowego) udałem się na okoloną z trzech stron rzędami kabin plażę zakładu kąpielowego.

Golizny ciał, zaledwie osłoniętych przepaskami kostjumów kąpielowych na każdym kroku pod dostatkiem! Brunatne, spalone od słońca, często z popękana skórą, potwornie grube lub przeraźliwie szczupłe niemki, jugosłowianki, czeski, włoszki, angielski wylegają na rozpalonym od słońca piasku razem z mężczyznami, inne znów pluskają się w wodzie, igrając z bałwanami morskimi i kąpiącymi się w morzu.

Przyglądałem się z niepomierną ciekawością ruchliwemu mrowisku nagich ciał, różnorodnej socjecie, wśród której najczęściej rozbrzmiewał międzynarodowy chichot sytego za-

dowolenia. Prawie że pośrodku plaży ulokował się w piasku jakiś zatrważających rozmiarów kolos rodzaju żeńskiego, z kłębami tłuszczu powleczonego ciemno ceglastą skórą. Gdy przewracała się z boku na bok — trzęsły się kabiny, gdy odsapnęła przy powstaniu — podnosił się tuman kurzu, a gdy zanurzyła się w wodzie, przybrana w czarne trykoty — czyniła wrażenie wieloryba lub innego morskiego potwora, którego fale zagnały na piaszczyste wybrzeże.

Szczęście to wielkie dla niej, że mieszkała zapewne w Wiedniu, a nie na niemieckim Śląsku, bo niezawodnie poślakomiłby się na jej obfite kształty słynny ludożerca przemysłowiec Denke, który wytopiłby z niej kilka beczek tłuszczu a z jej skóry zrobił parę tysięcy szelek i conajmniej ze dwa olbrzymie globusy do użytku szkolnego dla małych pruskich ludożerców. Ciekawa rzecz, pomyślałem sobie, co by to był za bajeczny widok, gdyby taki kolos w spódnicy wszedł do gondoli. Ręczę, że długa o wywrotną łódź ugrzęzłaby żelaznym tasakiem w dnie morskim, a stojący na przeciwnym końcu gondolier wyleciałby, jak kamień z procy, na dach najbliższej kamienicy.

Naprzyglądawszy się do syta kąpielowym scenom i zanurzywszy się ze dwa razy w morzu, powróciłem wieczorem do Wenecji, czyniąc po drodze znajomość z młodym sycylijczykiem, zatrudnionym w jednym z banków weneckich. Uprzedmy włos, rozmawiający dość dobrze po francusku, zaofiarował mi się z usługami oprowadzenia po mieście, przyczem gawędziliśmy na temat stosunków w Polsce i we Włoszech.

Zachwycony był on powieścią Sienkiewicza „Quo Vadis”, którą czytał we włoskim przekładzie. O innych polskich znakomitych autorach lub politykach wcale nie słyszał. Wyjaśniłem mu więc, że mamy jeszcze dwóch znakomitych mę-

zów współczesnych w Polsce: Reymonta, który napisał „Chłopów” i Witosa, który chłopów podniósł do godności arystokracji ludowej.

Wieczorem zwiedziłem z włoskim bankowcem bulwary Garibaldijskie i okoliczne brudne, ciasne zaułki, gdzie w przeciwieństwie do przepychu na placu św. Marka i w dzielnicy międzynarodowych hoteli panuje niepodzielnie brud i ubóstwo. Dnie upływały mi dość monotennie między plażą na Lido i placem św. Marka, gdzie codziennie wieczorem odbywały się koncerty wojskowe wobec tysięcznych rzesz spacerujących lub siedzących przy stolikach gości różnorodnej nacji, wśród których przeważali anglicy, Niemcy i południowi Słowianie.

Czasem między wytwornymi spacerowiczami przesuwa się i nędza włoska z dzielnicy Garibaldijskiej. Widziałem pewnego razu, jak uboga włoszka, idąc z kilkoletnim umorusanym „bambinkiem” wzdłuż ustawionych stolików na placu, była przyczyną nadzwyczaj zabawnej sceny. Bo oto ruchliwy a sprytny chłopiec, korzystając z odwróconej uwagi kelnera, włożył szybko dwa palce do ust, a następnie dotknął niemi przygotowanej dla gościa porcji miążskiego cukru, potem czempredziej je oblizał. Goście, którzy zauważyli ten fortel małego łakomczucha, wybuchieli śmiechem, śmiech to był szczery a wesóły — śmiech sytego zadowolenia z nędzy ludzkiej.

Zazwyczaj o godz. 11-ej w nocy wracałem do hotelu. Okna pokoju wychodziły na wąski lecz ruchliwy kanał, łączący port z kanałem głównym, biegnącym od przystani do dworca kolejowego pod łukiem słynnego mostu Rialto. Co chwila tuż pod oknami mego pokoju rozlegały się śpiewy i dźwięki mandolin z gondol, wracających z nocnych przejażdżek po zatoce weneckiej. Gorzej było gdy taka rozśpiewana gondola

wracała o godz. 2-iej w nocy, budząc wszystkich okolicznych mieszkańców... Pod tym względem we Włoszech panuje zupełna swoboda. Jeszcze więcej, niż śpiewające gondole, przeszkadzały mi zasnąć komary, takie małe a wściekłe złośliwe komary, których ukąszenia pozostawiały nad zwyczaj swędzące nabrzmienia na ciele. Owe komary to istna plaga Wenecji.

Któregoś dnia w poszukiwaniu taniej a solidnej jadłodajni, której adres wyczytałem w gazecie, zagadnąłem stojącego beczynnym robotnika o kierunek drogi.

— Zaprowadzę pana! — oświadczył mi chętnie.

Dałem mu do zrozumienia, że to zbyt cenne, ale on się uparł i szedł ze mną. Po drodze opowiadał mi, że jest bezrobotnym, dawniej służył w marynarce, a teraz od kilku miesięcy pozostaje bez zajęcia. W takim samym położeniu znajduje się w Wenecji z górą 800 bezrobotnych (cokolwiek mniej niż w Częstochowie). Pokazał mi swą fotografię w uniformie żołnierza marynarki, fotografię żony i dzieci. Gdy doszliśmy do celu, dałem mu 1 lira za fatywę. Metalowy krążek pochwycił z wyrazem radosnej wdzięczności.

Ponadto spotyka się w Wenecji, tak samo jak w Wiedniu, różnych żebrzących inwalidów bez nóg lub rąk (skutki wojny europejskiej) oraz starych, niedołączonych jałmużników ulicznych, podobnych kubek w kubek do naszych dziadków częstochowskich.

Jednego tylko zagranicą nigdzie nie spotkałem: oto takich nadobnych ulicznych kwestarek ze znaczkami, od których co niedziela roją się nasze ulice. Ten rodzaj dobroczynnych kwest widocznie zagranicą jest nieznan.

Po 10 dniach dokuczył mi osamotniony pobyt w Wenecji, przeto syt makaronów, man-

dolinowych serenad, kąpielowych wrażeń i komarowych bzykań — udałem się na dworzec kolejowy i porannym pociągami opuściłem cudną włoską krainę „gdzie cytryna dojrzewa” i Musolini wszechwładnie panuje.

Na tem kończę swoje notatki urlopowe, przyrzekając solennie, że w bliższej lub dalszej przyszłości, o ile kryzys ekonomiczny minie, i artykuły żywnościowe w Polsce stanowią, wybiorę się w podróż urlopową do krainy wiecznej wiosny — na kwiecistą Maderę, albo jeszcze dalej — na pełną historycznego uroku osamotnioną wysepkę św. Heleny.



SPIS RZECZY.

Z pobytu w Zakopanem	Str. 3
Z Krynicy	" 9
Z pobytu w Worochcie i Jaremczu	" 13
Z podróży na Kresy Wschodnie	" 27
W stolicy Wołynia	" 31
Z Krzemieńca do Ostroga	" 35
Na granicy bolszewickiej	" 40
Z podróży pod włoskie niebo	" 45
Z Porto-Roze do Wenecji	" 51
Wywczasy w Zaleszczykach	" 22

Biblioteka Główna UMK



300000843655



12
11
10
9
8
7
6
5
4
3
2
1

1. ...
2. ...
3. ...
4. ...
5. ...
6. ...
7. ...
8. ...
9. ...
10. ...
11. ...
12. ...

374422

10

Dr.
Tolman

46710